MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK IX. Nr 4 WARSZAWA, 27 STYCZNIA 1929 R. CENA NUMERU 80 gr.

MARS I MERKURY

W CZASACH obecnych, kiedy w wielu krajach Europy zachwiał się porządek parlamentarny, równolegle z tem doszły do władzy żywioły wojskowe. W różnych państwach widzimy sprawujących władzę generałów, co przed wojną było zjawiskiem stosunkowo rzadkiem. Ci wojskowi, którzy rządzą dzisiaj państwami, nie są jednakowego autoramentu i pochodzenia. Jedni całe życie byli wojskowymi, inni stali się nimi dopiero na tle przeobrażeń politycznych swojego kraju. Niemniej jednak każdy zawód, a tembardziej wojskowy, wyciska swoje piętno na psychologji jednostki. Gdy ona bierze na siebie funkcje cywilne, jej pochodzenie musi zaciążyć na sposobie sprawowania władzy.

Typową formą stosunków w wojsku jest rozkaz. Rozkaz zwierzchnika reguluje wszystko. Wojskowy, rządzący ludnością cywilną, zechce rządzić rozkazami. Nie uznaje deliberacyj, opozycji, długiej procedury. Ale nie dość na tem. Jaki jest stosunek wojskowego, który sprawuje rządy, do innych rządów, do innych państw? Duch militarny nie sprzyja kompromisom, ustępstwom i długim układom. Wojsko jest powołane do obrony niezależności państwa; wojskowi w rządzie nie powinniby być skłonni do tego, by zgodzić się na jakiekolwiek ograniczenia tej niezależności. Wiara w szablę nie pozwala na to, by państwo było przez innych traktowane z niedostatecznym respektem. Wiara w szablę, to wiara w potęgę państwa, to pewna nieustępliwość w stosunku do obcych, to szczególna wrażliwość na honor państwa, jego suwerenność.

W Polsce przewrót został dokonany przez część wojska. W rządach uczestniczy wielu wojskowych. Zajmują oni często stanowiska, do których nie uprawnia ich dotychczasowa karjera wojskowa. Cała administracja liczy się bardzo z tem, czego żąda wojsko. Biorąc rzeczy czysto zewnętrznie, mamy w Polsce rządy wojskowe. Wszakże w naszem życiu państwowem, w naszej polityce zachodzi wiele faktów, które nie godzą się z psychologją wojskową, z właściwościami, które w życiu publicznem ujawnia żołnierz. Do pewnych granic zaznacza się panowanie Marsa. Ale jego rządy nie są wyłączne. Dzieli on władzę z innym bożkiem, obcym sobie duchem: z Merkurym.

Rząd główną uwagę zwrócił na sprawy gospodarcze. W tej dziedzinie szukał swoich sukcesów. Starał się przyciągnąć te sfery, które żyją pod władzą Merkurego, które na zarobkową stronę życia zwracają główną uwagę. Nie odgradzał się dumnie od zagranicy, pełen wojskowej dumy, lecz dążył do tego, by zacieśnić związki z międzynarodowem życiem finansowem. Sprowadził do Polski doradcę finansowego, któremu przyznał wielkie prawa, duży wpływ na wewnętrzne sprawy Polski. Otworzył wrota obcemu kapitałowi, który niezawsze przychodzi w najkorzystniejszej formie, który może skrępować swobodę naszych ruchów, swobodę tak cenną dla każdego, kto jest ożywiony duchem wojskowym, a nie merkantylnym. Zabiegano bardzo gorliwie o względy żywiołu żydowskiego, a przecież ten żywioł niezbyt lubi Marsa, a dla Merkurego żywi kult szczególny. I rzecz bardzo znamienna, że czciciele bożka sprytu handlowego naogół w Polsce dobrze się czują. Bo w Polsce duży wpływ wywiera nowoczesny przedstawiciel tego kultu— międzynarodowy bankier.

Ale bogowie nie zawsze żyją w zgodzie. Zazdrość jest u nich częstem zjawiskiem i swoim poddanym nieraz każą z sobą walczyć. I kto śledzi baczniej nasze życie wewnętrzne, ten musi zauważyć, że trudna w niem jest harmonja między Marsem i Merkurym, i z biegiem czasu staje się coraz trudniejsza.

Merkury jest pacyfistą. Handel wtedy najlepiej kwitnie, gdy jest pokój, gdy nikt nie mówi o wojnie. Merkury jest ożywiony duchem międzynarodowym. Nie ma stałej siedziby, którąby sobie upodobał, lecz przenosi się łatwo z miejsca na miejsce. Merkury nie lubi przewrotów, nie lubi ostrych walk wewnętrznych, bo na tem cierpi handel. Stara się godzić różne interesy, uzbrojony w swój kaduceusz, stara się odwrócić uwagę ludzi od „polityki", każe im się zajmować „sprawami gospodarczemi". Ale co najważniejsza, nowoczesny Merkury jest zwolennikiem parlamentaryzmu i demokracji. Lęka się tego, by zamachy na parlamentaryzm nie wywołały przewrotów wewnętrznych, by nie utrudniły stosunków handlowych, nie zagroziły płatności pożyczek. Merkury zjawia się rzadko tam, gdzie jest jakiś przewrót, i odrazu daje swoich ludzi, którzy ten przewrót likwidują, stara się zalepić złotem rany, zadane w czasie przewrotu i czuwa nad tem, by nastał porządek, by zapanował pokój.

Nie należy mniemać, że Merkury i jego czciciele wyznają jakieś niewzruszalne zasady, którym pozostają wierni w każdych warunkach i okolicznościach. Już w starożytnym Rzymie, w czasie dorocznego święta Merkurego, które przypadało na dzień 15 maja, kupcy czczący tego bożka, wygłaszali do niego taką modlitwę: „Zmyj ze mnie, boże, wszystkie dotychczasowe fałszywe przysięgi i jeślim kiedykolwiek brał ciebie na świadka, jeślim nieprawdziwie przysięgał na imię Jowisza lub jakiegoś innego boga — niechaj te niegodziwe słowa będą darowane. Wszakże niech i na przyszłość wolno mi będzie oszukiwać i składać fałszywe przysięgi, a bogowie niechaj nie pamiętają o moich słowach". Czasami zresztą zdarza się, że i synowie Marsa odmawają podobną modlitwę. Wszakże Merkury ma umysł trzeźwy, zdaje sobie sprawę z tego, co sprzyja rozwojowi interesów i z tego punktu widzenia patrzy na politykę państwa.

I w tej chwili pragnie wewnętrznego pokoju. Nie nęcą go nadzieje gruntownych zmian w ustroju państwa, bo to nie może odbyć się bez walki, której wynik jest niepewny. Merkury nie ma w sobie żadnego romantyzmu ustrojowego. Nie pragnie tego, by jeden naród swoim ustrojem wybijał się nad inne. Jedyna forma dyktatury, którą dzisiaj uznaje, to dyktatura finansowa — lęka się dyktatury militarnej.

Synowie Marsa są dość lekkomyślni. Zadłużyli się mocno u wyznawców Merkurego. Ci czuwają nad lokatami swojego kapitału, czuwają nad tem, by procenty na czas wpłynęły. I gdy żywioły bardziej wojownicze chciałyby rządzić w swoim duchu, gdy zamyślają o nowych przewrotach, to wtedy wysłańcy Merkurego przestrzegają przed lekkomyślnemi krokami. Wskazują na potrzebę stabilizacji. Liczą się bardzo z dążeniami i hasłami lewicy. Nie chcą jej drażnić, nie chcą wywoływać walki wewnętrznej. Zadowoleni są z tego, co jest, obiecują dalszy dopływ kapitału, byle nie robić nowych zamachów, byle szanować formy istniejących instytucyj, jeżeli już nie ich treść istotną. A zaś wyznawcy Marsa nie są zadowoleni z dzisiejstanu rzeczy. Nie uważają swego dzieła, rozpoczętego przed dwoma i pół laty, za dzieło skończone. Buntują się przeciwko hamulcom, które na nich nakłada Merkury.

Toczy się walka między temi dwiema grupami. Na razie toczy się ona w granicach wspólnego obozu. Ale jej echa przedostają się coraz częściej nazewnątrz. Walka ta między Marsem i Merkurym może przybrać ostrzejsze formy, jeden bóg zechce wyprzeć drugiego z zajmowanych pozycji. A gdy bogowie się kłócą, to cierpią na tem śmiertelni.

ROMAN RYBARSKI

POGLĄDY POLITYCZNE ŚW. AUGUSTYNA

OMAWIANIE poglądów politycznych Św. Augustyna musi — na pierwszy rzut oka — budzić zdziwienie. Święty biskup Hipponu tak całkowicie owładnięty był jedynem zagadnieniem— życia wiecznego, tak wyłącznie przejęty troską o zbawienie duszy własnej oraz dusz powierzonej mu owczarni, że od życia politycznego i związanych z niem obowiązków usiłował trzymać się jaknajdalej. Przeciwny był np. rozciąganiu sądownictwa kościelnego na sprawy świeckie, ustawicznie też wymawiał się od piastowania stworzonego jeszcze przez Walentynjana, a przez Honorjusza biskupom powierzonego urzędu obrońcy ludu przed zdzierstwami poborców podatkowych i innemi nadużyciami. Posłuszny nauce, zawartej w opowieści ewangelicznej o groszu czynszowym (Mat. XXII, 21), bronił niezachwianie zasady, iż Państwo i Kościół posiadają odrębne, odmiennością natury obu społeczności określone sfery działania, sam zaś, w poczuciu powagi swoich obowiązków jako kapłana i biskupa, wszystkie siły poświęcił jedynie pracy pasterskiej, prowadzeniu dusz ludzkich przez „niewolę i wygnanie życia ziemskiego" ku wiecznej szczęśliwości.

A jednakże niewątpliwą słuszność ma p. Gustave Combès[1]) twierdząc, iż „poglądy polityczne Augustyna, jakkolwiek rozrzucone po rozmaitych dziełach i cząstkowe, tworzą wykończoną doktrynę". Zawsze bowiem istnieje linja, wzdłuż której dziedzina życia religijnego i dziedzina życia politycznego przylegają do siebie jaknajściślej, a stanowią ją zagadnienia treści moralnej. U podstawy każdej teorji czy praktyki politycznej musi być jakieś świadome lub nieuświadomione wyraźnie, szlachetne albo niezbyt szlachetne przeświadczenie o celu i sensie życia zbiorowego, przeświadczenie kierujące krokami politycznemi i ich oceną. Z drugiej strony zaś każdy system religijno-moralny z nieuniknioną koniecznością musi zetknąć się z zagadnieniami życia publicznego i określić stosunek do nich jednostki.

P. Combès w obszernej monografji wybrał z całej puścizny Augustyna urywki, charakteryzujące poglądy polityczne Świętego, uporządkował je i objaśnił, pragnąc pracy swojej nadać „charakter czysto przed-

[1]) Gustave Combès. „*La doctrine politique de Saint Augustin*" Paris, ed. Plon, 1927 str. 470.

miotowy", pozwolić przemówić nietyle swym osobistym poglądom, ile samym tekstom. Daremne byłoby—w niedługim artykule — kusić się o streszczanie przedstawionej w ten sposób doktryny politycznej Św. Augustyna, tembardziej o jej wszechstronniejsze omówienie. Ograniczyć się wypadnie do zaznaczenia niektórych tylko fragmentów, przytoczenia kilku tylko poglądów, znamiennych jako wyraz myśli politycznej autora „Wyznań" i *„De civitate Dei"*.

*

Kiedy Św. Augustyn (ur. 354 — † 430) pisał swe dzieła, świat zachodnio-rzymski przeżywał okres powszechnego, niesłychanie ostrego i głęboko sięgającego kryzysu. Waliła się w gruzy potęga niezwyciężonego doniedawna Imperjum, a razem z nią rysował się wspaniały gmach całej rzymskiej cywilizacji. Cóż dziwnego, że Św. Augustyn usiłował zgłębić istotę i przyczyny tego kryzysu, że pięć pierwszych ksiąg *„De civitate Dei"* poświęcił niejako—rozważaniom o przyczynach wielkości i upadku Rzymian. Potrzeba rozważań takich okazywała się tem pilniejsza, że wśród najlepszych, najgorętszych patrjotów ówczesnych wielu przyczynę upadku widziało właśnie we wpływie Chrześcijaństwa, którego nauka o przebaczaniu krzywd i miłosierdziu rozłożyła jakoby męską, rycerską cnotę dawnego Rzymu. W Hipponie, w stolicy djecezji, której Św. Augustyn był biskupem, z zarzutami takiemi występował przeciwko Chrześcijaństwu Volusianus w kole młodzieży patrjotycznej, bolejącej nad nieszczęściami ojczyzny i szukającej sposobów ratunku.

Święty Biskup zarzuty te odpierał z całą stanowczością. Zgadzał się on, iż *„moribus antiquis res stat romana virisque"*, upadek Rzymu tłumaczył właśnie zanikiem dawnych cnót: prostoty obyczajów, bezinteresowności, skłonności do poświęceń, a rozplenieniem się chciwości, skąpstwa, egoizmu, chęci użycia. Tych wad jednakże nie wprowadziła napewno do Rzymu nauka Chrystusa. Augustyn świadczył się dawnymi pisarzami pogańskimi, zwłaszcza zaś Sallustjuszem, Cyceronem i Juvenalem, że rozluźnienie obyczajów i upadek moralności poprzedziły pojawienie się Chrześcijaństwa. „Znacznie wcześniej" — pisał — „zanim imię Chrystusa zabłysło nad ziemią, powiedziano o Rzymie: O miasto przedajne, które zginęłoby natychmiast, jeśliby znalazło nabywcę".[2]) „Pośród tej powodzi zepsucia, konieczna była pomoc Autorytetu nadziemskiego, któryby ponownie wezwał ludzi do ubóstwa dobrowolnego, umiarkowania, sprawiedliwości, zgody, życzliwości, pobożności prawdziwej i tych wszystkich cnót, co stanowią jakgdyby światła życia".[3])

Chciwość, kult pieniądza i użycia sprawiały, że w Rzymie za czasów Cesarstwa obywatele coraz niechętniej przyjmowali urzędy, ze względu na połączone z niemi koszty, unikali również i niewygód służby wojskowej, tak iż do legjonów w coraz większej liczbie zaciągać musiano obcokrajowców. W tych warunkach tem większego znaczenia nabierały nauki Św. Augustyna, nawołującego wiernych do wypełniania obowiązków publicznych, sumiennego płacenia podatków, nie stronienia od zawodu żołnierskiego. Oto np. dzielny wódz, Bonifacius, trzykrotny obrońca Afryki przed Wandalami, postanowił, po śmierci żony, poświęcić się żywotowi mniszemu. Augustyn na wiadomość o tem nie tylko nie utwierdzał go w jego zamiarze, lecz przeciwnie, jako pierwszy obowiązek wskazywał mu obronę ojczyzny. „Nie sądź" — pisał — „iż nie można podobać się Bogu w rzemiośle żołnierskiem. Żołnierzem był Dawid, święty prorok, któremu Pan daje tak chwalebne świadectwo."[4]) A dalej przypominał Chrystusa, uzdrawiającego sługę centurjonowi (Łuk. VII, 8): „Chrystus pochwalił jego wiarę, nie nakazując mu wcale porzucania stanu wojskowego".[5]) Doktryna chrześcijańska — stwierdzał Św. Augustyn z naciskiem — nie osłabia Państwa, przeciwnie, wiedzie je do wielkości i szczęścia.

Zagadnienie chrześcijańskiego poglądu na wojnę i obowiązki żołnierza pobudzać musiało myśl Św. Augustyna tem więcej, że o ile poganie zarzucali Kościołowi osłabianie Państwa przez propagandę idej pacyfistycznych, heretycy, ze swej strony, pomawiali go o militaryzm sprzeczny z prawem miłości, głoszonem w Ewangelji. Wybitny manichejczyk, Faustus, zaatakował Stary Testament, w którym Jehowa nakazywał wojny i dopomagał w ich prowadzeniu, gdy tymczasem wojna — z natury rzeczy — jest zbrodnią. Na powyższy zarzut Augustyn odpowiedział szczegółowo, najwidoczniej pragnąc do dna zgłębić problemat: oczywiście, wojna jest nieszczęściem, którego należy się wystrzegać, czy jednakże nie bywa czasem nieunikniona? czy niekiedy nie jest ona jedynym sposobem zapewnienia sprawiedliwego rzeczywiście pokoju? „Cóż tedy" — zapytywał Augustyn Faustusa — „potępiasz w wojnie? Czyliż to, że giną w niej ludzie, którzy i tak prędzej czy później umrzeć muszą, i w ten sposób umożliwiają następnym pokoleniom życie w pokoju? Czynić takie zarzuty wojnie byłoby świadectwem tchórzostwa, nie zaś religijności".[6]) Przebaczenie, wyzbycie się nienawiści, nie zakazuje bynajmniej walczyć do końca w imię słusznych praw i bezpieczeństwa swojej ojczyzny. Co innego należy potępić w wojnie: „chęć poniżenia nieprzyjaciela, okrucieństwo zemsty, wściekłość odwetu, żądzę panowania"...[7]) „Z duszą pełną miłosierdzia" — pouczał — „jeśli to jest możliwe, powinni ludzie szlachetni prowadzić wojnę, żeby powściągnąć rozwiązłość obyczajów i zniszczyć występek".[8]) Opatrzność posługuję się wojną, jako narzędziem, używa jej w celu ukarania zbrodni i doprowadzenia narodów do opamiętania. Gotowość zaś wyrzeczenia się dóbr materjalnych, przez religję wpojony brak obawy przed śmiercią, z chrześcijanina właśnie stwarzają najdoskonalszy wzór cnoty żołnierskiej. „Dajcie nam" — wołał Św. Augustyn — „armję złożoną z rycerzy, jakich wymaga nauka Chrystusowa!"[9])

Zrozumiałe jest, iż autor *„De civitate Dei"*, wysoko ceniący starorzymską surowość i prostotę obyczaju, daleki być musiał od bezkrytycznego zachwytu wobec olbrzymiego rozrostu terytorjalnego i bogactwa Rzymu-Cesarstwa. Milsze dlań i piękniejsze były czasy, gdy — jak pisał cytowany przezeń[10]) Sallustjusz — „mimo ich małej liczby i ubóstwa, Rzymianie własnemi tarczami zasłaniali swą wolność, rodziny i ojczyznę", niż późniejsza potęga i wspaniałość, zdobyta przy pomocy nieustannych napaści oraz grabieży, a na wewnątrz opłacona wyrzeczeniem się „dobra dla Rzymian najcenniejszego: wolności"[11]). Jakiż bowiem jest — wedle Augustyna — ostateczny cel Państwa? Czy ma nim być dostarczanie obywatelom jaknajwiększej ilości wygód i rozkoszy? „Niech rozmnożą się kur-

[2]) *Epistola* 138, 16 (do Volusiana)
[3]) *ibid.*

[4]) *Epistola* 189, 4 (do Bonifaciusa).
[5]) *ibid.*
[6]) *Contra Faustum* XXII, 74.
[7]) *ibid* XXII, 75.
[8]) *Epistola* 138, 14.
[9]) *Epistola* 138, 15.
[10]) *„De civitate Dei"*, III, 10.
[11]) *ibid* III, 24.

tyzany, niechaj wznoszą się wielkie i bogate pałace, niechaj ludzie zasiadają do uczt kosztownych, dni i noce niech mijają pośród orgij gry, stołu, *vomitorium* i lupanaru; niechaj zewsząd słychać będzie tupot tańca, bezwstydne oklaski teatru, niechaj wyjdą na jaw najokrutniejsze i najbardziej haniebne namiętności... Jakiż człowiek rozsądny nie porównałby takiej rzeczypospolitej, nie mówię do cesarstwa rzymskiego, ale do pałacu Sardanapala"...[12]) Czy też może najważniejszym celem Państwa powinien być dobrobyt obywateli, ich bogactwo? „Właśnie wówczas, gdy przekupstwo, skąpstwo, chciwość nie oszczędziły ani ludzi, ani tych nawet, których uważano za bogów, rzeczypospolita rzymska tracić zaczęła swoją chwałę, honor, i to, co stanowiło o jej bezpieczeństwie... Ubóstwo niegdyś utrzymywało nieskazitelność obyczajów; chciwość obywateli, okrutniejsza, niźli nieprzyjaciel, opanowała nie mury miasta, ale dusze Rzymian".[13]) Jedynym bowiem godnym celem polityki państwa, a zarazem jedyną rzeczywistą rękojmią jego mocy, może być—zdaniem Św. Augustyna—tylko c n o t a. Niewątpliwie, państwo powinno być jaknajsilniejsze, żeby mogło skutecznie bronić cnoty i skutecznie ją szerzyć. Ale zbytni rozrost terytorjalny, oparty jedynie na przewadze fizycznej, ułatwiający wyzysk gospodarczy, ucisk i samowolę, demoralizuje zwycięsców i bynajmniej nie zapewnia trwałości ich panowania. Dlatego też ideałem politycznym Św. Augustyna nie jest jedno olbrzymie imperjum światowe, ale raczej taki układ stosunków, w którym byłoby „wiele królestw w świecie, tak jak jest wiele rodzin w państwie".[14])

Uderzająca bywa chwilami bezwzględna surowość, z jaką Augustyn oceniał przeszłość własnej ojczyzny, bezlitosność, z jaką decydował się rozwiewać najmilsze sercu rzymskiemu złudzenia. Ironicznie, z szyderstwem nieomal wykazywał bezzasadność Wirgiljuszowych przepowiedni: „*Tu regere imperio populos, Romane, memento*" albo „*Imperium sine fine dedi*"... Ale nie należy zapominać, że w epoce przed Augustynem patrjotyzm rzymski był już tylko prawie wyłącznie uczuciem dumy z powodu rozległości Imperjum i beztroską ufnością w jego potęgę. Zubożenie podobne wewnętrznej treści patrjotyzmu, niebezpieczne zawsze, podwójnie groźne musiało okazywać się w obliczu zbliżającej się katastrofy: jeśli bowiem uczucie patrjotyczne wypływało jedynie z faktu materjalnej potęgi państwa i jego obszaru, czemże można będzie utrzymać je i podsycić w chwilach klęski? I głęboka była myśl Świętego Biskupa, kiedy oparcia dla miłości ojczyzny szukał raczej nie w przemijających, wojskowych i politycznych powodzeniach Państwa, lecz przedewszystkiem w niezniszczalnej sile moralnej, płynącej z wielkiej tradycji cnót Regulusa, Scypjona, Katona, Muciusa Scaevoli, Cyncynata.

To też w dniach klęski najstraszniejszej, kiedy w roku 410 Rzym został zdobyty i splądrowany przez Alaryka, wobec grozy najazdu barbarzyńców Augustyn nie poddał się rozpaczy. Ponad prawną, materjalną niejako więzią organizacji państwowej, dostrzec umiał duchowną czysto więź — jakby dziś powiedziano — n a r o d u, właśnie przez ten jej duchowy charakter żadnej zewnętrznej przemocy niepodległą. Tę więź duchową pragnął teraz przedewszystkiem utrzymać i utrwalić, opierając ją na niewzruszonej podstawie religji chrześcijańskiej. „Czemże wreszcie jest Rzym— wołał — jeżeli nie są nim Rzymianie? Rzym nie jest zawarty w stosie kamieni i drzewa, w owych budowlach wyniosłych, podobnych do wysp i w obszernym obwodzie miejskich murów".[15]) Rzym „nie jest zgubiony niepowrotnie, dopóki Rzymianie sami nie są zgubieni",[16]) dopóki — co najważniejszą — nie wyrzekają się pobożności i wiary. „Got nie zagarnie tego, czego Bóg strzeże".[17])

*

Tysiąc pięćset lat upłynie w roku przyszłym od daty śmierci wielkiego biskupa Hipponu. Przez piętnaście stuleci genjusz jego wywierał olbrzymi wpływ na kształtowanie się podstawowych pojęć religijno-moralnych u wszystkich zachodnio-europejskich narodów. I dziś zwłaszcza, na granicy dwóch wieków, kiedy cała cywilizacja zachodnia wchodzi w okres szczególnie niebezpiecznego kryzysu, przytoczenie poglądów politycznych Św. Augustyna nie jest może tylko i jedynie — przypomnieniem dalekiej bardzo przeszłości. Warto im poświęcić nieco uwagi.

JAN REMBIELIŃSKI

[12]) *ibid.* II, 20.
[13]) *Epistola* 138, 16.
[14]) „*De civitate Dei*" IV, 15.
[15]) *Sermo* 81, 8.
[16]) *ibid.*
[17]) *Sermo* 296, 9.

PRZEJAŻDŻKA W PRÓŻNI

SŁYNNA jest w fizyce „próżnia Torricelli'ego". Niemniejszej sławy godna jest w krytyce literackiej „próżnia Pompera". Stworzył ją niejaki p. Leon Pomirowski (z domu Pomper) i światu w książce p. t. „Doktryna a twórczość" przedstawił. („Doktryna a twórczość. Rzecz o współczesnej krytyce, najnowszej prozie polskiej i dramacie". Warsz. 1928. Wydaw. J. Mortkowicza. str. 214).

Redakcja „Myśli Narodowej" miała dużo z tą książką kłopotu. Dawała ją do oceny temu i owemu, lecz każdy zwracał z uwagą, że niepodobna dojść, ani domyślić się, czego autor chce, do czego dąży, czego dowodzi, ani o czem mówi. Takie w Polakach siedzi pierwotne zaufanie maluczkich do słowa drukowanego, że zawsze przypuszczają obecność w niem treści. A gdy sami jej wyłuskać nie mogą, gotowi raczej siebie o niezdolność oskarżyć, niż autora o beztreść. Przed kilkoma miesiącami redakcja i mnie książkę p. Pompera do oceny wręczyła. I ja także zwróciłem ją z odmową, ale z innego powodu. Oświadczyłem, że analiza i omówienie setek frazesów, na dwustu stronicach książki mętnie rozwodnionych, zajęłyby za dużo czasu i miejsca, Nie warto z tem się porać. Tak oto próżnia Pompera w próżni Torricelli'ego zawisła.

Trzeba było jednak coś z tem począć. Więc znowu o mnie się oparło, ale już z listem żelaznym w postaci białej karty na wóz albo przewóz. Wybrałem, naturalnie, przewóz, to będzie szybciej i zgrabniej. Dlatego z czystem sumieniem zapraszam czytelników na tę małą przejażdżkę. Będziemy jechali po pomperowej próżni w autobusie syntetycznym mojej kon-

strukcji, bez wstrząsów i skrętów, przez okolicę o widoku rozległym. Zatem — w drogę!

Próżnia Pompera nie jest odkryciem, ale, jedną z najlepszych, demonstracją znanej próżni ducha żydowskiego. Umysł żydowski z rasy swej jest potwornie kaleki, ponieważ nie posiada żadnego związku z przyrodą, czyli z przedmiotem wogóle, nie rozumie i nie czuje nigdzie wartości użytkowej, lecz tylko wartość zamienną. Stąd płyną zdolności matematyczne i adwokackie żydów, ale i w matematyce nigdy do granic filozofji i mechaniki nie docierają, przeto i tu są raczej adwokackie. Tu również leży źródło znanej nielogiczności umysłu żydowskiego, albowiem logika, o ile jest pozbawiona intuicji i związku z przedmiotem, daje się w każdem twierdzeniu odwracać na nice. (Przednia właściwość dla adwokata!).

P. Pomper w chwili przypływu bezwiednego samokrytycyzmu w ten sam sposób ocenił umysł żydowski, a to w zdaniu następującem (jest to jedyne w książce jego zdanie rozsądne):

„Jak w dowodzeniu matematycznem, gdzie chodzi o wyprowadzenie strukturalnego wzoru, który się wypełnia byle jaką treścią życia — tak samo w teoretyzowaniu na jakikolwiek temat literacki, można dojść do idealnych wyników, o ile się traktuje pozamyślową rzeczywistość — bylejak".

Wobec tego należy przyznać, że autor w pracy swej doszedł do wyników idealnych. Pozamyślowa rzeczywistość w książce p. Pompera nietylko bylejak jest traktowana, ale wręcz nie istnieje. Na dwustu stronicach w zbitym tłumie pustych słów wiruje czterysta próżnych okresów z niezliczoną ilością fikcyj, przywidzeń, dowolności, odwróceń i wywróceń. Proszę jednak nie lękać się! Nie skręcimy na to olbrzymie pole głogowe, chociaż rasowy spryt autora ubarwił je zawrotnem mnóstwem różyczek w postaci nazwisk poetów i dramaturgów całego świata. Wszyscy tu są, wszystko tu jest — prócz treści.

Lecz nie!.. Prawda! Brak tu jednego nazwiska— pana Joseph'a Prudhomme'a, atoli tylko dlatego, że on sam we własnej osobie, choć w żydowskiej odbitce, paraduje tu od pierwszej stronicy do ostatniej. Kroczy, posuwa się, kłania się protekcjonalnie, klepie bliższych znajomych po ramieniu, spogląda z góry, z pod binokli — głębokomyślnie, przystaje i wygłasza, wygłasza, wciąż wygłasza banalności swe i piętrowe, rekordowe nonsensy.

Obiecałem czytelnikom, że nie skręcę, ale — wybaczcie! — tylko wychylę się w biegu i uszczknę jeden jedyny kwiatuszek... Na stronicy 96 (warto to w oryginale obejrzeć...) pomiędzy dwoma pustemi okresami widnieje, niczem z niemi nie związane, a i graficznie dla powagi w osobne *á capite* ujęte, takie zdanie głębokie:

— „Albo — albo"... jak mówi Amiel. —

Od ukazania się próżni Pompera minęło już wiele miesięcy, a nikt w Warszawie (dowcipnej, pono...) tej kapitalnej sentencji p. Pompera nie powtarza. Dlaczego? Przecie tu Pomper wszystkich świata Prudhomme'ów prześcignął i do supraidealnych doszedł wyników. Przecie to zdanie wzorem powinno się stać i wejść do encyklopedyj pod „P" literą, jako „piramidalnie — pompatyczne prawo próżni Pompera"! O smutna, kabaretami napchana Warszawo!

„Albo—albo",—jak mówi Amiel... „Ha! trudno!"— jak mówi Szekspir... „No, i cóż?"—jak mówi Voltaire... „Djabła tam!"—jak mówi Twardowski... „Że też to"— jak mówi Cervantes: „Bądź co bądź..." — jak mówi Seneka... „Nic a nic..." — jak mówi Schopenhauer... „Innemi słowy..." jak mówi Pomper...

No... ale i nam już, jak myślę, czas powiedzieć: „Stop! jak mówi Ali-Baba"... i z tej przejażdżki zawrócić. A w drodze powrotnej o jedno tylko zapytam. Czy mamy wciąż i nadal traktować poważnie tych panów Prudhomme-Pomperów, którzy nas dziesiątkami bezdennie czczych tomów swych zasypują? Ślęczyć nad rozplątywaniem wypoconych nonsensów literatury kryptożydowskiej!? Przypuszczać istnienie zdrowego rozsądku i rzetelności w tworach programowego pustogadulstwa?

Jak mamy reagować na ten masowy najazd próżnej umysłowości żydowskiej na społeczność naszą i kulturę? Odpowiedź na te pytania dał trafną i świetną pewien artysta-malarz, uczeń warszawskiej szkoły sztuk plastycznych. Posłuchajmy. (Nazwiska zmieniam powieściowo).

Przed paroma laty, w klubie artystycznym, wobec *ad hoc* zebranej licznej publiczności odbyła się jedna z wielu rozpraw, aranżowanych przez żydów, na temat sztuki i życia. Za stołem prezydjalnym przewodniczy profesor Brzuszkowski. Główni mówcy — panowie Kontler, Pompler, Figler i Magler. Na sali pod kolumną gromadka młodych artystów-malarzów, którzy wprost od palety przyszli posłuchać mądrości. Publiczność znudzona odczytem i rozprawą nad subtelnościami estetyki.

Pan Kontler z patosem kończy swoją przeciw sztuce filipikę:

„Kupiułłem (przez „u" i dwa „łł") bilet na tragedję „Hamlet" i szedłem do teatru, gdy na ulicy zobaczułłem (*ditto*) starszą damę, klęczącą nad pieskiem, którego przejechał tramwaj... Panie i panowie! Szlochała... I ja nie chciałem już hamletów i nie poszedłem do teatru, chociaż bilet kupiułłem (*ditto*). Czem są tragedje sztuki wobec tragedji życia? Panie i panowie!.. Skończułłem (*ditto*)".

Pan Kontler obciera pot z czoła, panowie Pompler, Figler i Magler pochylają czół myślących. Profesor Brzuszkowski sapie. Publiczność nic nie rozumie i jest zmęczona. Nagle z pod kolumny powstaje ulubiony uczeń profesora Brzuszkowskiego, prosi o głos i mówi wolno, poważnie:

— „Przepraszam. Chciałem tylko zapytać mówcę, jakiej maści był ten piesek?"

Sala zabrzmiała od homerycznego śmiechu i nie może się uspokoić. Panowie Kontler, Pompler, Figler i Magler oburzeni spoglądają na siebie. Profesor Brzuszkowski trzęsie brzuszkiem od śmiechu tłumionego, lecz dzwoni energicznie, sili się na spokój i mówi:

— „Wprawdzie pytanie to nie pozbawione jest głębszego znaczenia, ale zanadto odbiega od tematu, więc przejdźmy do porządku dziennego."

Ale uczeń raz jeszcze rękę, jak w szkole, podnosi:

— „W takim razie chciałbym poradzić, żeby starsze damy prowadzały tramwaje na sznureczkach..."

Sala nowym grzmotem śmiechu wybucha. Wszyscy wstają i w radosnym nastroju zaczynają się rozchodzić. Zebranie kończy się samorzutnie. Panowie Kontler, Pompler, Figler i Magler wściekli, zgorszeni, wzgardliwi — narzucają na siebie palta i syczą: „Co jest?! To jest kultura?! To jest wiek dwudziesty?! To jest cywilizacja!? To jest Polska odrodzona!?" Ale już nikt ich nie słuchał, bo, co było tu aryjskiego, to zro-

zumiało, że w złośliwym żarcie malarza tkwiła prawda, miażdżąca wszystkich tych psychopomperów, .którzy wprost ze swoich chederów na trybuny publiczne wyłażą i fałsze w żargonowej szerzą polszczyźnie.

Oto jest zdrowy, prosty wzór dla naszej inteligencji, krytyki, literatury, prasy, opinji, dla jej, mianowicie, stosunku do pomperowych wypocin. Musimy bowiem wybrać nareszcie: czy jesteśmy dziedzicami wysokiej kultury własnej i z jej poziomu osądzać mamy sprytnych cagliostrów koczowniczego plemienia, czy też nad każdą tandetą ślęczyć poczciwie i tracić drogi czas nad jej analizą, naprawą, a może nawet — dobremi jej chęciami?

„Albo — albo — jak mówi Amiel"...

STANISŁAW PIEŃKOWSKI

JAN GWALBERT PAWLIKOWSKI

SZKIC LITERACKI

Hasło powrotu do przyrody... to hasło walki o najwyższe dobra kulturalne.

J. G. Pawlikowski

MÓWIĄC o charakterze Polaka wogóle, a zwłaszcza oświeconych przedstawicieli danej epoki, niezbyt konkretnie przedstawiamy sobie obraz psychologiczny, jak wygląda wnętrze ludzi, których mamy na myśli. Sądzę, że w tej mierze wiele ma do zrobienia nie tylko powieść. Portret literacki wyróżnionej w piśmiennictwie czy życiu społecznem jednostki daleko plastyczniejszy da nam obraz, niż ogólnikowa charakterystyka typu danej epoki. Dla przykładu obieram postać Jana Gwalberta Pawlikowskiego, którego uważam za jedną ze szczytowych pozycyj w kulturze polskiej na zbiegu dwu stuleci. Da mi to sposobność ukazania w całości człowieka zasłużonego, znanego tylko fragmentami; więc i ten cel publicystyczny będzie osiągnięty w roku dla Pawlikowskiego jubileuszowym. Pięćdziesiąt bowiem lat upływa w tym roku, odkąd dał się poznać jako pisarz.

Powinienem w tem miejscu dać jego fotografję, a pod nią dodać do nazwiska drobnym drukiem: Członek krakowskiej Akademji Umiejętności, członek Tow. Naukowego we Lwowie, kawaler orderu Odrodzenia Polski, członek prezydjum Państw. Rady ochrony przyrody, b. profesor Wyższ. Szkoły rolniczej w Dublanach, b. prezes stronnictwa Demokratyczno-Narodowego w zaborze austrjackim, b. prezes Związku Naukowo-Literackiego we Lwowie, redaktor „Wierchów" i t. d. Szkic mój jednak nie będzie uzasadniał wszystkich tych tytułów i zasług, ma on zadanie raczej psychologiczne, do czego potrzebna jest też biografja, zadanie raczej literackie, niż publicystyczne.

Ten objektywny charakter rozbioru osobistości żyjącej ma tę przykrą dla piszącego i opisywanego stronę, że dokonywa się na zimno. Sądzę jednak, że Pawlikowski mi to wybaczy, korzystam bowiem z praw historyka wobec człowieka publicznego, będącego własnością wszystkich, aby przytem pofolgować nieodpartej potrzebie podzielenia się z szerszemi kołami widokiem niepospolitego zjawiska kultury polskiej, która stoi mi w oczach od chwili, gdym ją objął wzrokiem w całości.

I

Kiedym poznał Jana Gwalberta Pawlikowskiego— było to we Lwowie w r. 1902 — głośny był jego brat Tadeusz, dyrektor teatru, związany silnie z ogniskiem Młodej Polski. Przed laty poznałem w Krakowie ojca ich, Mieczysława, redaktora „Nowej Reformy". Interesowałem się tem nazwiskiem, związanem z Medyką i słynnemi zbiorami bibljotecznemi; wiedziałem z dziejów Ossolineum o protoplaście, który dał początek tej dynastji szerzycieli kultury i twórców. Z zainteresowaniem czytywałem w „Tygodniku Ilustrowanym" w r. 1897 powieść Mieczysława Pawlikowskiego „Baczmahę".

Jan Gwalbert Pawlikowski, właściciel Medyki, mieszkał, tak jak teraz, we Lwowie przy ul. Trzeciego maja, 5. W ogrodzie tegoż domu w zbudowanym specjalnie pawilonie mieściła się owa słynna bibljoteka Pawlikowskich, pozostająca pod opieką znakomitego historyka Ludwika Kubali. Dowiedziałem się wtedy dopiero o Janie Pawlikowskim, że jest ekonomistą, profesorem ekonomiki w wyższej szkole rolniczej (późniejszej Akademji) w Dublanach pod Lwowem, że w Zakopanem ma piękny dom stylowy na Kozieńcu, że życie swoje dzieli między Dublany, Zakopane, Lwów i Medykę. W tym porządku. We Lwowie widzialny jest w Związku Naukowo-Literackim. Tutaj właśnie z nim się zetknąłem.

Związek, założony przez prof. Kalinę w r. 1896, po paru latach wegetowania ożył, gdy weszli do zarządu z Pawlikowskim Jan Popławski redaktor „Przeglądu Wszechpolskiego", Zdzisław Dębicki, Jan Kasprowicz, Alfred Wysocki, prof. Marcin Ernst, Ernest Łuniński i inni. Wybrano wtedy prezesem Pawlikowskiego. W r. 1903 na wiosnę znalazłem się i ja w zarządzie i odtąd z Pawlikowskim oraz z Kasprowiczem do samej wojny w nim pozostawaliśmy. To mi dało możność poznania bliżej Pawlikowskiego. A tu jedynie można było poznać go całego, jako człowieka inicjatywy, pracownika, przedewszystkiem zaś jako uniwersalność wiedzy. Dzięki niemu mogło powstać przy Związku wydawnictwo książkowe „Wiedza i życie", które w kilkudziesięciu tomach poruszyło najżywotniejsze zagadnienia filozofji, nauki i literatury. Redaktorem tej bibljoteki był Pawlikowski. W lokalu Związku miała parę lat siedzibę Szkoła nauk politycznych, którą prowadził Pawlikowski wraz z rektorem Ochenkowskim.

Związek urządzał w ciągu roku 20 do 30 zebrań odczytowych z dyskusją na tematy, które w danym momencie najżywiej interesowały literatów, publicystów, artystów. Pawlikowski w każdym wypadku mógł być jeśli nie prelegentem, to korreferentem. Wymienię niektóre odczyty, które sam wygłosił: O słowie jako elemencie sztuki poetyckiej, O stylu zakopiańskim, O współczesnej nauce rolniczej (1902), O przedstawianiu barw w poezji, O Królu Duchu (1904), O źródłach i pokrewieństwach towianizmu (dwa odczyty 1906) O mistyce Słowackiego (1907), O krainie duchów w wierzeniach naszej mistyki romantycznej, Słowacki o przyszłym człowieku (1908), O mesjanizmie polskim (dwa odczyty), O nieznanym rapsodzie Króla Ducha (1909), Styl jako zjawisko społeczne (1911).

Rozległa wiedza Pawlikowskiego znajdowała sympatyczne ujście w środowisku tych zebrań; on sam odczuwał potrzebę głośnego myślenia i wymiany myśli. Był też duszą Związku. Imponował mi rzadko spotykanym darem interesowania się wszystkiemi zagadnieniami nauki, sztuki i życia. Życie ludzkie, przyroda były dla niego czytelnemi księgami, niby pierwszemi tomami leksykonu nauki, kultury i literatury. Umiał podchodzić z właściwej strony do każdej dziedziny, rozumieć je jasno, a każda rzecz budziła w jego umyśle odległe związki i filozoficznie się pogłębiała. Miał to w kulturze umysłu, że mu się nie plątały metody dochodzenia każdej z tych rzeczy. Nie był literatem-estetą tam, gdzie trzeba było być ekonomistą i odwrotnie, tak samo kąt widzenia polityczny nie zlewał mu się z filozoficznym. A jednak był w nim na spodzie, przed progiem intelektu, jakiś zaczyn, który dla tego wszystkiego, jak dla gałęzi, tworzył pień, karmiący każdą myśl i decyzję żywotnemi sokami.

Było coś antycznie perypatetycznego w biesiadach, które się przeciągały do północy poza salą odczytową przy herbacie w kawiarni. Te ściślejsze gawędy były nieraz pożyteczniejsze od publicznych. Tu kiełkowały idee, a co ważniejsza umysły przywykały do wyżyn. Przypisywałem to wpływowi Pawlikowskiego, który u siebie w duszy przeniósł wszystkie upodobania osobiste w sferę życia umysłowego. Najmniejszej nie czuł potrzeby t. zw. używania życia, albo wyróżniania się z tła swemi przewagami osobistemi. W naszem środowisku literacko-cygańsko-proletarjackiem choćby z powodu swej niezależności materjalnej łatwo mógł się kusić o tytuł mecenasa czy amfitrjona; tymczasem z niego raczej trzeba było brać przykład umiarkowania potrzeb i rachunkowości. Zrównoważony duchowo, opanowany był w nerwach; zawsze równie pogodny, z uwagą zawsze słuchany, przepięknie sam słuchał. Nie robi z siebie słońca wesołości, ale zawsze umie dyskusję podniecić doskonałym dowcipem. Pogoda Pawlikowskiego nie jest słoneczna i nie jest bez melancholji; daje światło rozproszone jak z lampy alabastrowej. Światło czyjeś razi, gdy rzuca promienie, zmuszające interesować się osobistością bezpośrednio. Pawlikowski — jeśli wolno pomagać sobie porównaniami — jest jak domostwo z zapuszczonemi firankami; gdzieś świeci się w ostatnim pokoju; ale osoby nie widać, nie wystawia się na przyzbę domostwa. Światło swoje rozprasza w rzeczach, któremi zniewala uwagę słuchaczy, ale sam jest ukryty, sobą nie zajmuje nigdy. Ze szranków spraw osobistych chętnie się wycofuje. Wszystko mu się jawi — napozór — objektywnie. Zna rzeczy wesołe i chętnie niemi się dzieli, ale sam raczej smutny. Robi wrażenie człowieka samotnego. Własny świat wewnętrzny mu wystarcza i w nim przebywa. Nie widać, by potrzebował oparcia w kimś uczuciowego. Wierny i lojalny w przyjaźni, nie uzewnętrznia łatwo swych uczuć. Stoi sam.

Tak go pamiętam. Dla rysopisu dodam, że jeśli się czem wyróżnia zewnętrznie, to chyba w ubraniu, lubi mianowicie nosić białą kamizelkę i biały krawat, co łącznie z kolorytem głowy daje całości jasny charakter, budzący zaufanie do ogólnej czystości charakteru osobistego. Szczupły, wysokiego wzrostu, w okularach, z zarostem siwym króciutko przystrzyżonym i słabem już owłosieniem czaszki, postawę ma zawsze młodzieńczą. Gdy się wiedziało, że od młodości był zawołanym taternikiem, robił wrażenie przebranego górala — zwłaszcza z powodu długich nóg, zakończonych niezwykle małemi stopami, na których innyby się przewrócił. A przypomina górala także dużym i pewnym chodem, doskonały do dzisiaj piechur.

Mógłby ktoś wyobrażać sobie, że jednostka w tych warunkach niezależności materjalnej i upodobań umysłowych musi być rodzajem sybaryty intelektualisty i estety, który się spala łagodnie w uciechach umysłowych. A jednak, kiedy w r. 1903 nowopowstające stronnictwo Demokratyczno-Narodowe przystąpiło do organizowania kadrów, Pawlikowski stanął w szeregach jako polityk, zgodził się objąć prezesurę zarządu i obowiązek, związany z tym posterunkiem, spełniał doskonale aż do wojny.[1]) Prawda, miał koło siebie ludzi tęgich a roboczych, jak Głąbiński i Grabski Stanisław, ale nigdy nie dał dowodu psychologicznego (nie mówiąc już o moralnym), że mu ciąży rola działacza. Wiem, że upodobania najgłębsze Pawlikowskiego nie dążyły w tę stronę, nie wątpię, że lepiej się czuł w sferze zatrudnień intelektualistycznych; ale jest to człowiek tak dużej kultury duchowej, że świadomością potrafi wymóc na swej organizacji psychicznej każdy ze swej woli użytek, i to użytek doskonały. Pawlikowski zrzekł się prezesury stronnictwa po wojnie w r. 1919 na rzecz Jana Rozwadowskiego.

Miałem możność patrzeć porównawczo w rozmaitych okolicznościach na dwu często z sobą obcujących ludzi: Pawlikowskiego i Kasprowicza. To było bardzo ciekawe zestawienie. Dwa najlepsze egzemplarze kultury polskiej, na najwyższym poziomie cywilizacji zachodniej, urodzeni nawet w jednym roku, a przecież jakże trudno pomyśleć większą odmienność natur. Przypadali do siebie na dużej powierzchni zainteresowań; nie różnili się przekonaniami politycznemi, rozumieli się, w wielu rzeczach równali się wiedzą, szanowali się, mieli dla siebie więcej bo wzajemny podziw; a jednak byli to ludzie różnego typu. Nie wpadali w siebie temperamentami.

Kasprowicz fukcjonował psychicznie całym swoim ustrojem: albo gasł do temperatury zera i niżej, albo — jeśli miał dobyć z siebie siłę, choćby do niewielkiej czynności duchowej — poruszał w sobie całą organizację, podgrzewając ją do wysokiej temperatury. Był niezłożony, raczej nie rozłożony na części, i reagował całą osobistością, zawsze w bezpośrednim stosunku osobistym do rzeczy. Wiedzę swoją, która mu otworzyła drogę do katedry, zdobywał entuzjazmem, bezpośredniem chłonięciem na własność poetycką. Gdy mu obowiązek kazał być dydaktą na katedrze, założył okulary, był suchy i męczył się.

Pawlikowski trzyma od siebie świat w dystansie poznawczym. Interesuje się nim przez poznanie. Czy angażuje się w cokolwiek uczuciowo, tego po sobie poznać nie daje. Wszystko przełamuje się przez jego intelekt, nic w nim napozór niema bezpośredniego. Więc w porównaniu z Kasprowiczem, który miał na wszystko odpowiedź w reakcji uczuciowej, Pawlikowski jest skoncentrowany w mózgu.

---

[1]) Z tego czasu i późniejszego w druku ocalały następujące wystąpienia Pawlikowskiego:

W rocznicę konstytucji 3 maja (przemówienie w sali ratuszowej lwowskiej) Słowo Polskie, 1908 nr. 218.

Mowa noworoczna wygłoszona do prof. Głąbińskiego. Gł. Pol. 1909, Nr. 2.

Emigracja sezonowa. Odpowiedź na ankietę. Słowa Pol. 1909, Nr. 370 i 372.

Stronnictwo Dem.-Nar. wobec ostatnich wydarzeń politycznych. Słowo Pol. 1910, Nr. 265 (streszcz.).

Mowa na zebraniu członków str. Słowo Pol. 1910, Nr. 228.

Obrona narodowa i jej organy. Goniec, 1910, Nr. 887 i 890.

Szanowna aprobata dla nieszanownej roboty. Słowo Polskie, 1911, Nr. 246.

Przemówienie na wiecu. Sł. Pol. 1911, Nr. 316.

Zjednoczenie (art. progr.) w dwutyg. „Zjednoczenie" Lwów 1915, Nr. 1.

Figle nie w porę. Tamże, Nr. 2.

Na tem bodaj polega postęp, dokonywany w rozwoju typu przez kulturę, że świadomość intelektualna zagarnia w życiu psychicznem coraz szersze obszary pod swoje mocne rządy. Surowa natura, odruchowa, emocjonalna, ulega rygorowi intelektu i szuka do niego dostępu drogami intelektualizacji. Człowiek kulturalny ma życie wewnętrzne uregulowane — rzec można — konstytucyjnie. Nie znaczy to jednak, że trzeba go zawsze zaliczać do tego typu intelektualistów, którym krew nie dochodzi do mózgu. Intelekt Pawlikowskiego nie jest chłodny, żywo się komunikuje z systemem uczuciowym, tylko ten system jest dobrze uszczelniony od zewnątrz i nie przejawia się bezpośrednio. Wyraz jego zewnętrzny nie jest nigdy patetyczny, ma barwę refleksyjną, jakby wszystko w jego duszy było tylko objektem dla rozważającej świadomości.

A jednak, jak życiorys świadczy, Pawlikowski jest człowiekiem kompletnym, nie obca mu jest dziedzina działania praktycznego, emocji i walki. Intelekt jego nie jest izolowany ani od wzruszeń uczuciowo-popędowych, ani estetycznych, zwłaszcza od tych ostatnich. Co więcej kompletność ta wypływa nie z każdorazowych aktów przymusu intelektualnego, lecz stąd, że jego życie duchowe przedstawia jedność organiczną. Weźmy zasadniczy rys uczuciowości Pawlikowskiego—miłość ziemi. Kocha ją we wszystkich przejawach i użytkach — że karmi, że piękna, że jest postacią życia powszechnego, że jest podstawą życia narodu.

Życie człowieka maksymalnie wyrośniętego w kulturze, wolnego i nieprzymuszonego w wyborze dróg, tłumaczy się niemal całkowicie motywami jego potrzeb wewnętrznych. Na owe czasy galicyjskie był to rzadki typ człowieka wolnego, umiejącego z wolności korzystać.

Ciążenie duszy Pawlikowskiego było zawsze nacjonalistyczne, nie tylko z powodu czystości zasad politycznych. Patrjotyzm Pawlikowskiego jest już z tej wyżyny kultury uczuć, na której postępowania się nie racjonalizuje. Nie mógłby nie być patrjotą — nie dałoby się pomyśleć Pawlikowskiego np. jako Polaka, którego utrzymuje w równowadze życiowej ciążenie do Wiednia.

Kultura daje człowiekowi styl przez to, że automatyzuje. Człowiek prawdziwie kulturalny jest etyczny, bo już jest poza dowolnością pokusy, nie może robić źle. Pawlikowski, jako gospodarz cywilizacji polskiej, tak się do niej ustosunkował, że jest z nią jednością. Stworzył sobie świat samostarczalności polskiej. Nie mógł pójść na bezdroża polityczne, bo wogóle nie wałęsał się. Jemu jest w Polsce dobrze. Rzecz charakterystyczna, że nigdy nie czuje potrzeby „odświeżania się" zagranicą; siedzi w kraju i w nim znajduje coraz ciekawsze nowości. Nigdy też nie słyszałem z ust jego narzekania na Polskę, na jakiekolwiek warunki, w których źleby się czuł.

To go w Polsce różni od tłumu oświeconego akurat w tej proporcji, w jakiej się różni prawdziwa kultura od pseudokultury.

Przyjrzyjmy się bliżej konstytucji Pawlikowskiego, ale przedtem jeszcze trochę danych biograficznych i bibljograficznych.

(D. c. n.) ZYGMUNT WASILEWSKI

Z CYKLU: „RAJSKIE KARTKI"

ZIARNA CUDOWNE

Oczy, pogrążone we mnie,
silące się daremnie dotrzeć tajemnicy
w mych wargach i mej źrenicy...

Usta, w rzewnej próbie
rozwarte szeroko
lub skrąglone owalem w zawodnej rachubie...

Język, błądzący bezradnie,
nim drogowskazy odgadnie...

O, święta niemowlęca ty żmudo niezdarna!
Ty, co z odwiecznej troski
niedołężne lęgniesz głoski,
chwała ci za mozolnie porodzone ziarna,
bezcenna ty i cudowna,
błogosławiona, całopalna,
sercem witalna
nauko pierwszej mądrości! —

POCZĄŁ SIĘ ŻYWOT W KRUSZYNIE

Począł się żywot w kruszynie.
Błogosławiona niewiedza
światu pytania śle:
trzepocą w płonnej rączynie,
z usteczek otwartych ulecą,
pełne powagi zaświecą
na owcząt dnie.
Ledwie wyjrzało człeczę
na ziemskiej dolinie,
na podbój świata ruszyło
w tej samej godzinie...
— O, tajemnico żywota!
ty go łaskawie szczędź!
Ziemio! — ty mu pozostaw
niejedną pulchną piędź!
Trudzie! — bądź mu miłościw!
Losie! — pobłażaj mu co dnia!
Oto przybysz zdaleka,
już się obrócił w przechodnia.

STANISŁAW BĄKOWSKI

Z HORACEGO

VITAS HINNULEO ME SIMILIS, CHLOE...

Carm. I, XXIII

Niby sarenka zmykasz mi,
co pędząc przez bezdroże,
gdy matki odnaleźć nie może,
od lęku biedna drży.

Czy wiotka gdzieś gałązka drgnie,
wiatr liściem zaszeleści,
wszystko jej wkoło wroga wieści —
i cała drżąca mknie.

Wszakżem nie tygrys ani lew,
skrzywdzić cię nie chcę zgoła —
z matczynych rąk pójdź, kędyć woła
kipiąca w żyłach krew.

Przełożył BOGUSŁAW JEZIORSKI

LIBERUM VETO

Między dwoma krańcami. — Harmonja różnic umysłowych. — Protest konkursowy. — Osobliwa literatura i jej mętne źródła— Niezbędny pierwiastek dusz ludzkich i niezmożona siła.

GDYBY przynajmniej te paskudztwa konserwatywno-radykalnie miały jakiś większy kaliber, jakieś wyższe napięcie! Ale są to pospolite marnoty, kłótnie pyskatych sąsiadek o kurę na płocie, rynsztoki plugawych wymysłów albo syczące i szczekające zazdrości i gniewy o kromkę chleba, o garstkę ziarna, o kąsek mięsa. Nie jest tak wstrętną wielka zbrodnia, jak pospolita złość, od dzikich drapieżców gorsze są robaki, napadające rojnie i kąsające zajadle. Dziwiono się i ganiono nieraz, że umysły liberalne a nawet radykalne odsuwały się od lewego skrzydła ugrupowań ideowych i stawały przy prawem. Nie była to wcale dezercja, sprzeniewierzenie się poprzednim przekonaniom, zmiana wyznania społeczno-filozoficznego, ale ucieczka z barbarzyństwa do kultury, z chamstwa do godności. Gdyby Voltaire miał do wyboru, gdzie się schronić, czy do plebanji, w której mieszka bigoteryjny ale uczciwy i przyzwoity proboszcz, czy do karczmy, w której biesiadują wolnomyślni łotrzykowie i gbury, z pewnością wybrałby pierwszą. Są ludzie — u nas bardzo liczni — podobni do spłaszczonych, jednostronnie widzących ryb flądер, którzy sądzą, że umysłowość człowieka kulturalnego składa się tylko z wiedzy teoretycznej, z przekonań filozoficznych, socjologicznych, politycznych, którzy lekceważą w niej pierwiastki moralne i uczuciowe. Jeżeli jesteś socjalistą, postępowcem, konserwatystą, to musisz stać i walczyć w szeregu tych obozów, chociażby one były gromadami zbójów, rabusiów, napastników i opryszków. Jest to pragmatyka bandy. Z żadnej ideologji nie można usunąć moralności, bo ona każdej nadaje godność, siłę, prawo istnienia i działania. Znałem zdawna skrajnie religijnych i moralnie czystych księży, z którymi zawsze i chętnie i przyjaźnie obcowałem. Niektórzy ze starszych socjalistów może pamiętają, że im kiedyś wyświadczałem rozmaite usługi, dawałem schronienia i składki, chociaż nie podzielałem ich przekonań, ale gdy jeden z nich zażądał, ażebym w mojem mieszkaniu wiejskiem pozwolił ukryć pieniądze z zamierzonego zatrzymania i obrabowania pociągu pocztowego na kolei Terespolskiej, poradziłem mu, ażeby gdzieindziej poszukał pasera dla tego łupu. Wrogiem człowieka uczciwego nie jest przeciwnik ideowy, ale łajdak. Jak dalece zaś chamstwo stało się u nas właściwością niewstydliwą, zaświadczył protest dwóch członków sądu konkursowego, przeciwko przyznaniu nagrody za utwór dramatyczny A. Nowaczyńskiemu. P. Sieroszewski z pewnością nie ma dobrego stopnia ze sprawowania się u prawicy, którą często znieważał. Mimo to nikt z niej nie protestował przeciwko temu, że on jednego roku otrzymał order, pensję rządową i nagrodę literacką Warszawy. Skoro większość komisji krakowskiej oświadczyła się za Nowaczyńskim, kulturalna mniejszość powinna była poprzestać na głosowaniu przeciwnem, nie przenosić swego oporu na pole prasy i nie czynić z niego awantury publicznej. Był to bowiem sąd literacki a nie spór osobisty. Że zaś zamieniono go na osobisty dowodem fakt, że w proteście połączył się konserwatysta z socjalistą. Niema też wątpliwości, że gdyby praca Nowaczyńskiego wyrównała swą wartością utworom Szekspira lub Moljera, ci panowie zachowaliby się tak samo. Więc po cóż do licha urządzać konkursy literackie i rozstrzyganie ich powierzać sędziom, którym jeden z przypuszczalnych współzawodników nieraz nadeptał mocno na odcisk i nie przeprosił?

Od kilku lat powstała i coraz bujniej rozwija się osobliwa gałąź literatury, którą przyszli historycy, jeśli wogóle zwrócą na nią uwagę, obejmą nazwą „piłsudczyków". Nie wiem, czy minister wojny zna ją we wszystkich okazach i krytycznie ocenia. Przypuszczam, że nie ma na to dość czasu, a może nawet chęci. Jest to zjawisko znane, że każda wielka władza jest rodzajem magnesu, który przyciąga opiłki ludzkie rozmaitej wartości i rodzajem wysoko cenionej akcji, nabywanej skwapliwie przez spekulantów, podbijących ją w kursie. Nie można zaprzeczyć, że w tej literaturze są wypływy szczerych i bezinteresownych przekonań, ale i to pewne, że jej większość stanowią rachuby lichego gatunku karjerowiczów. Krzykliwość i bezczelnie objawiane bałwochwalstwo jest dla nich „rakiem" do rozpruwania kas ogniotrwałych, w których zdobywają korzyści materjalne. Przelicytowanie się w natężeniu uwielbień, zachwytów, służalstwa, tarzania się w prochu przekroczyło już granicę najfantastyczniejszych kultów dla ludzi i weszło w sferę czci dla bogów. Gdyby nawet brakło innych dowodów nieszczerości i niecnoty pobudek w tych wybuchach udanego entuzjazmu, sama ich przesada wystarczyłaby do zdradzenia ich mętnego źródła. Ale takie dowody istnieją. Prasa niezależna ciągle demaskuje tych obłudnych apologistów, wykazując ich liczne i nagłe przemiany, których łańcuch ma niekiedy ogniwa zwyczajnych występków. Jednemu z ostatnich tego rodzaju spekulantów udowodniono publicznie, że zanim został bałwochwalczym Plutarchem był przedtem złodziejem.

Nie ulega wątpliwości, że wszędzie i zawsze wielka władza nietylko sama dopuszczała się samowoli, ale ośmielała swych wykonawców do nadużyć. Ta, jeśli niekonieczna, to bardzo pospolita demoralizacja jest poniekąd usprawiedliwieniem błotnych charakterów i czynów t. zw. „sanacji". Ale to nie zmienia faktu, że błoto istnieje i stanowi niezwykle gruby pokład, że natomiast po przeciwnej stronie, odsuniętej od władzy, panuje nieporównanie czystsza atmosfera moralna, która przyciąga ludzi pragnących nią oddychać, chociażby niektóre jej pierwiastki ideowe nie odpowiadały ich wymaganiom. Wykrętna i nikczemna sofistyka rybaków łowiących w mętnej wodzie, stawiających osobisty żer ponad wszystkie inne pobudki, korzyści i sprawy, usiłuje ciągle obniżyć wagę względów moralnych. Nie przestają one jednak być pierwszorzędną miarą wartości czynów i stosunków ludzkich. Baconowi, wielkiemu reformatorowi wiedzy, nie zapomniano dotąd, że był oszustem i cały blask jego genjuszu nie zdołał zakryć owej ciemnej plamy jego charakteru. Różnoimienna kanalja ludzka, dzikie chamstwo, żyjące z gwałtów i podstępów lub z łaski potężnej siły, może dla własnego interesu i usprawiedliwienia podrwiwać sobie z majestatu moralności, mimo to pozostanie ona dla wszystkich miejsc i czasów władczynią i prawodawczynią życia wszelkich zorganizowanych zbiorowisk ludzkich. Dlatego obecnie, kiedy u nas powstało i trwa ciągle chaotyczne pomieszanie żywiołów, charakterów, przekonań, dążeń, celów, jednostki wrażliwe, potrzebujące prawości i nie mogące pozostać tam, gdzie ona zmalała lub znikła, odrywają się od dawnych, skądinąd pokrewnych im skupień i przyłączają się do innych, skądinąd im obcych. Niema dziś w Polsce jednolitych ugrupowań, ani konserwatystów, ani postępowców, radykałów, religjantów, bezwyznaniowców, są tylko zmieszane z różnorodnych odmian gromady i gromadki, związane bądź interesem i wspólnością zdo-

byczy, bądź potrzebą czystego powietrza i swobodnego oddechu umysłów. A jeżeli ten zamęt kiedykolwiek się uporządkuje, jeżeli skotłowane żywioły polityczno-społeczne ułożą się według swych naturalnych powinowatów i ciążeń, będzie to wyłącznie dziełem zdetronizowanej moralności, która odzyska stracone berło i panować będzie wszechwładnie nad całem naszem życiem, nad wszystkiemi innemi siłami i czynnikami, które muszą stanowić jej poddaństwo. Szyderczy śmiech z tej nadziei zmartwieje na bluźnierczych ustach jako znamię nierozumu lub niegodziwości.

ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI

GŁOSY

ALEKSANDROWI ŚWIĘTOCHOWSKIEMU

W DNIU 18 stycznia Aleksander Świętochowski skończył 80 lat życia. Prasa codzienna obozu narodowego w pełnych czci wyrazach ten fakt zaznaczyła, a w życzeniach złożonych jubilatowi wyraziło się uczucie hołdownicze całego narodu. Hołd swój składamy w „Myśli Narodowej" bodaj ostatni, choć jesteśmy dzisiaj mu najbliżsi w pracy.

Z tytułu tego współpracownictwa nie rościmy sobie praw pierwszeństwa do osoby Świętochowskiego. Nie zakon obozu łączy nas z czcigodnym nestorem piśmiennictwa polskiego, lecz siła przylegalności patrjotycznej ludzi, którym dola Polski jednako leży na sercu. W tem znaczeniu Świętochowski do wszystkich należy, a nam dziękować tylko losowi przystoi, że możemy mieć jego czcigodną postać między sobą— między młodszymi i najmłodszymi.

Są między nami, tutaj pisującymi, tacy, którzy się urodzili dopiero dwadzieścia kilka lat temu. Że mają oni wspólny ze Świętochowskim język ideowy, to dowód, że idea narodowa z wiecznego płynie źródła i zawsze jest młoda. Przez nią starość się odmładza, młodość zaś nabiera powagi. Tak zasila życie twórcze narodu, odradzając i rodząc, idea moralna odpowiedzialności za byt i rozwój rodowitej cywilizacji.

W czasach duchowej rozterki z bałamuctwa międzynarodowego, kiedy niepomni rodu ludzie sztucznie kombinują wieżę Babel, nie widząc własnej budowli dziedzicznej, w czasach zamętu, kiedy już nikt nikogo nie rozumie i nikogo nie szanuje, a sprzysięga się jeno symbolem braterstwa do symbolicznego budownictwa, my ludzie z prawdziwego zdarzenia historycznego, realnie pracujący, znajdujemy realne oparcie w uczuciach, które wiążą jedno pokolenie z drugiem, oraz ludzi odmiennego w szczegółach myślenia. Nawet różniąc się, potrafimy się rozumieć i szanować.

To też przy okazji urodzin, jednocząc się z życzeniami całego społeczeństwa, redakcja „Myśli Narodowej" w imieniu piszących i czytających składa dostojnemu jubilatowi hołd tem gorętszy, że z motywem osobistej przyjaźni połączony.

Aby pracował między nami jaknajdłużej w zdrowiu i w lepszej atmosferze życia publicznego, niż dzisiejsza!

RÓŻNICA ŚWIATOPOGLĄDÓW

WIELKIE wrażenie wywołało w całem społeczeństwie usunięcie z prezydjum Sądu Najwyższego pierwszego prezesa Władysława Seydy. Tem większe, że niemal w przeddzień tego faktu minister sprawiedliwości p. Car zapewnił w komisji budżetowej Sejmu, że nie użyje dekretu o reformie sądownictwa do rugów politycznych. Dowiadujemy się z „Kurjera Poznańskiego" (nr. 30), że na parę dni przed tą deklaracją p. Car zapowiedział prezesowi Seydzie tę dymisję, motywując ją „różnicą światopoglądów" jego i Seydy.

Rzecz cała odbywa się w Polsce, która wysoko ceni Władysława Seydę, jako człowieka zasłużonego sprawie polskiej i jako męża godnego zaufania na stanowisku najwyższego przedstawiciela organizacji sądowniczej. Znany jet bowiem ze swego poczucia prawa, praworządności i przestrzegania niezawisłości sądu od wszelkich wpływów polityki.

Wład. Seyda w czasie wojny był prezesem Koła Polskiego w parlamencie berlińskim, po odzyskaniu zaś niepodległości Polski był ministrem b. dzielnicy pruskiej, a po śmierci Fr. Nowodworskiego jednomyślnie ze społeczeństwem powołano go na stanowisko pierwszego prezesa Sądu Najwyższego. Odtąd, oddany sprawom wymiaru sprawiedliwości, zginął z widowni życia publicznego. Raz tylko dało się o nim słyszeć w świecie politycznym przed wyborami ostatniemi do ciał prawodawczych, z powodu zatargu, jaki wynikł między prezydjum Sądu Najwyższego a rządem w sprawie terna kandydatów na komisarza wyborczego, których wybór prawo pozostawia tej niezależnej instytucji. Rząd mianował wtedy komisarzem z poza owego terna p. Cara.

Prezes Seyda — trzeba dodać — był obecnie bodaj jedynym przedstawicielem inteligencji wielkopolskiej na wysokim urzędzie państwowym. Szczególne też wrażenie wywołało w Wielkopolsce to stwierdzenie różnicy światopoglądów.

Należałoby się czytelnikom wyjaśnienie, co to pojęcie różnicy w sobie zawiera. Zagadnienie to sięga głęboko w naukę o cywilizacji. Poruszał je niedawno w „Myśli Narodowej" (Nr 2) Stanisław Kozicki w artykule „Rzym czy Bizancjum". Różnica ta ujawnia się jaskrawo we wszystkich dziedzinach, zwłaszcza w poglądach na prawo.

O OCHRONĘ WIĘKSZOŚCI NARODOWEJ

STOSUNKI literackie w zżydzonej Warszawie są takie, że gdy wybitny pisarz polski, którym się szczyci literatura, Adam Grzymała-Siedlecki wystawi nowy utwór, wtedy „Wiadomości Literackie", podające się za organ polski, nawet korzystające z subsydjów na cele propagandy literatury polskiej za granicą, ogłaszają recenzję w tym stylu:

> „Nudna, głupia sztuka, o której nawet myśleć nudno i pisać głupio... Cóż mam powiedzieć o sztuce Grzymały (co za poufałość!). Nie chodźcie na to, bo nie warto... Można się złakomić na forsę (?) i zostać nie włamywaczem, ale szanowanym autorem dramatycznym"...

Co upoważnia źle wychowanego żyda — pisze te rzeczy Antoni Słonimski — do traktowania w ten sposób poważnych pisarzy polskich? Słusznie zauważył ktoś zagranicą, iż gwarantowane traktatem pokojowym prawa mniejszości narodowych nie powinny być rozumiane w ten sposób, że mniejszości nie mają żadnych obowiązków. Pierwszy ich obowiązek —

zachowywać się przyzwoicie, nie prowokować gospodarzy, którzy im dają gościnę.

Pan Słonimski nie ma żadnych praw poufałości wobec pisarzy polskich. To winien wytłumaczyć swojej arogancji. Jednocześnie wystawia w Warszawie sztukę swoją, w której się proklamuje jako żyd, wyśmiewający współwyznawców za to, że udają Polaków. Nie może o sobie powiedzieć, że jest pisarzem polskim. Robi nam Polakom przykrość, że do propagandy swoich żydowskich idej używa języka polskiego, że w tym języku zarobkuje, ucząc cynizmu publiczność polską.

Żydzi są zuchwali, łatwo przebierają miarkę i tem przyśpieszają zawsze swoją katastrofę. W literaturze doprowadzili już do niej. Minęły te czasy, kiedy nie rozróżniano ich w literaturze od Polaków; dzisiaj są ghettem, która się wdziera na pryncypalne ulice życia polskiego, abv psocić; nazwiska muszą zmieniać, żeby uniknąć dozoru opinji.

Literatura nie ma swojego kodeksu karnego. Ze statystyki przestępczości widać, że żydzi kodeksem też się nie krępują, ale niechże p. Słonimski zrozumie, że opinja publiczna ma swoje egzekutywy. Atmosfera bolszewizmu, tak daleko sięgająca z Rosji, podnieca go obecnie, ale nawet w Rosji współwyznawcy jego już obijają boki o jakieś przeszkody, których nie przewidywali.

Żydzi, piszący po polsku i na czytelnictwie polskiem żerujący, mają obowiązek respektować zasady naszej cywilizacji, a więc uznawać nie tylko rygory policyjne, ale ideały etyczne społeczeństwa polskiego. Więc gdy pisarz polski porusza zagadnienia moralne czy religijne, raczej milczeć mają, a nie szerzyć, pod pretekstem krytyki literackiej, kontragitację bolszewicką. My wiemy, co się pod temi wybrykami kryje.

Oto macie: jednego dnia Haecker w Krakowie, drugiego—Słonimski w Warszawie. To w jednej tylko dziedzinie teatru. Cóż się dziać musi w innych dziedzinach, żydom powierzanych, gdzie się robi po cichu!

ABDYKACJA KRÓLA AMANULLAHA

MIMO oddalenia, w jakiem odbywają się wypadki w Afganistanie, możemy dość ściśle odpowiedzieć sobie na pytanie — co było przyczyną niepowodzenia i kapitulacji króla Amanullaha. Władca Afganistanu pragnął zeuropeizować swe państwo i swój naród, zaczął przeprowadzać bardzo radykalne i daleko idące reformy i spotkał się ze sprzeciwem swych poddanych, przywiązanych do dawnych obyczajów i zwyczajów, ściśle związanych z religją i jej obrzędami. Zwolennicy dawnego porządku zwyciężyli. Król musiał złożyć władzę w ręce swego brata.

Podobno oddziaływały też wpływy obce, pisze się i mówi o działaniach Rosji i Anglji, które są bardzo zainteresowane tem, co się dzieje w kraju oddzielającym posiadłości rosyjskie od Indyj. Powiadają, że Anglja zwyciężyła Rosję, która popierała reformy Amanullaha. Trudno osądzić, ile w tem prawdy, to wszakże jest pewne, że dziś interesuje nas przedewszystkiem nie współzawodnictwo angielsko-rosyjskie na terenie Afganistanu, lecz walki wewnętrzne w tym kraju, jako jeden z przejawów przeobrażenia, przez które przechodzą ludy azjatyckie.

Ludy te widzą przewagę Europejczyków i chcąc się od tej przewagi uniezależnić przystępują do naśladownictwa Europy i do przejęcia od niej tego, co za źródło tej przewagi uważają. Pierwsi zrobili to Japończycy, a dziś proces analogiczny odbywa się w Turcji, w Persji, wśród Arabów, w Afganistanie, w Chinach, w Indjach... Prąd ten zamyślali wyzyskać dla swoich celów bolszewicy, okazało się jednak, że ich wysiłki doprowadziły przedewszystkiem do rozwoju tego, co w Europie nazywa się nacjonalizmem. Już dziś widać, że „rozbudzenie się" ludów azjatyckich zagraża nietylko Anglji i innym narodom zachodnio-europejskim, lecz także Rosji, która jest przecież państwem azjatyckiem.

Przyszła ewolucja Azji będzie decydującym czynnikiem w życiu ludzkości, zagadnienie jej kierunku jest jednem z najciekawszych zagadnień świata współczesnego.

Ludzie wierzący w dogmat automatycznego i koniecznego „postępu" sądzą, że wszystko zależy od tego, czy ludy Azji zdołają przyswoić sobie całkowicie kulturę i cywilizację europejską i stanąć przez to na równym poziomie z Europą. Ludzie tak myślący uważać będą Amanullaha za bojownika „postępu", któremu sprzeciwili się „reakcjoniści" afgańscy; za błąd jedynie poczytywać mu będą, że chciał „za prędko" podnieść swój naród „na wyżynę" europejską. A jednak sprawa nie jest tak całkiem prosta.

Nasuwa się tu kilka wątpliwości. Pierwsza — czy można i czy należy dążyć do przerobienia całkowitego duszy ludów wschodnich na modłę europejską. Wszak ludy te posiadają starą i wytworną kulturę, wszak mają duszę od europejskiej zgoła różną. Wszak przez wieki zrosły się z obecnemi swojemi wierzeniami, obyczajami i zwyczajami! Druga — czy kultura i cywilizacja Europy, nie wzięta jako całość, lecz ten jej stan, jaki trwa od połowy wieku XVIII, przez wiek XIX po dzień dzisiejszy, jest czemś tak godnem naśladownictwa, by siłą i z podeptaniem całej własnej kultury miały ją u siebie wprowadzać narody Azji?

Są to zagadnienia bardzo obszerne, wymagające i długich studjów i obszernych rozstrzygań. Nie zamierzamy ich tutaj roztrząsać szczegółowo. Pragniemy tylko wypowiedzieć kilka uwag:

Sądzimy tedy, że okres współczesny w życiu narodów europejskich jest okresem upadku ich kultury. Rozwinęła się wprawdzie w Europie w ciągu ostatnich kilku wieków technika życia, lecz stało się to ze szkodą rozwoju życia duchowego. W porównaniu ze starożytnym Rzymem i ze średniowieczem cofnęliśmy się znacznie, jeśli mowa o życiu duchowem i moralnem ludów europejskich. To, co rzeczywiście za postęp należy uważać, obraca się w dziedzinie materjalnych potrzeb ludzkości. Zapewne, mamy koleje, samochody i samoloty, telegraf, telefon i radjo, opanowaliśmy całą przyrodę, posiadamy narzędzia wojenne przepotężne... Lecz czy to wszystko wpływa na pogłębienie życia duchowego? Zdaje się nam, że jest wprost przeciwnie. Nurt tego życia w Europie współczesnej jest coraz płytszy.

Tymczasem narody wschodu, wbrew temu, co myślą różni „postępowcy", mają właściwości duchowe bardzo rozwinięte. Wszak są całe prądy myślowe w Europie, które w filozofji chińskiej i indyjskiej szukają natchnień i wzorów. Tak daleko nie idziemy, kulturę rzymską i katolicką stawiamy na pierwszem miejscu w rozwoju i dorobku duchowym ludzkości. Lecz nie możemy uważać za szczyt tej kultury tego, na co patrzymy we współczesnej, cofającej się ku barbarzyństwu Europie. Dlatego też wydaje się nam, że dobrze (ze swego punktu widzenia) robią ludy azjatyckie, jeśli starają się opanować i przyswoić sobie wszelkie zdobycze techniki europejskiej, bo przez to jedynie mogą obronić i zachować swą niezależność i swoje dobra. Lecz o wiele mniej skwapliwie winny dążyć do naśladowania kultury duchowej Europy

współczesnej. Jeśli zaś chcą przenieść na swój grunt duchowy to, co w tej kulturze posiada wartość istotną i niezniszczalną, to winny to robić stopniowo i w ten sposób, by nie zniszczyć swego wiekowego dorobku, a z nim tego wszystkiego, co w nim jest trwałe, mądre i piękne. Bo zamiast asymilować prawdy i walory istotne, będą asymilowały przesądy, błędy i rzeczy przemijające.

Podziwiać trzeba energję i umiejętność z jaką dyktator Turcji, Mustafa Kemal, modernizuje swoje państwo, lecz trudno mieć wiarę w to, że zerwanie z wiekową tradycją odbędzie się bez złych w przyszłości następstw. Nietylko zbyt pośpieszne, lecz może nieprzystosowane do rzeczywistego stanu rzeczy w Afganistanie były reformy króla Amanullaha?

Ktoś mógłby się powołać na doświadczenia, które zrobiła Rosja po reformach Piotra Wielkiego. Lecz trzeba stwierdzić, że po 200 latach modernizmu powróciła ona gwałtownie, wśród niesłychanych katastrof i konwulsyj, do swego stanu naturalnego, boć bolszewizm rosyjski jest w dużym stopniu powrotem Rosji do jej wschodniej natury.

Tak tedy są wypadki i doświadczenia afgańskie i ciekawe i pouczające.

S. K.

WYCHOWANIE NARODOWE

UWAGI O POLSKIM SYSTEMIE WYCHOWAWCZYM

W POŁOWIE stycznia r. b. odbył się w Krakowie zjazd dyrektorów wszystkich szkół średnich państwowych w Polsce. Zjazd ten zasługuje na uwagę, ponieważ rozważano na nim program narodowego wychowania młodzieży. Były wygłoszone nawet dwa referaty, jeden na temat „O polski system wychowawczy“ (naczelnik wydz. szk. średnich krakowskiego kuratorjum p. F. Przyjemski), drugi o „Przebudowie dyscypliny szkolnej“ (dyrektor gmin. im. św. Jacka w Krakowie p. Fr. K. Okrzański).

Dla charakterystyki dzisiejszej doby, panujących w niej oficjalnie prądów, oba referaty były nader ciekawym przyczynkiem. Oba oparte zostały na pesymistycznej ocenie rzeczywistości polskiej. Jeden z referentów oświadczył wręcz, że po latach doświadczenia trzeba przyznać rację „szkole krakowskiej“: przyczyną zła są nasze przewiny, w nas leży zalążek rozkładu. W dalszem analizowaniu charakteru polskiego jaskrawo oświetlone zostały prawie wyłącznie jego wady. Mówiąc o dyscyplinie stwierdził drugi prelegent, że rzeczywistość w tym zakresie przedstawia się wśród młodzieży bardzo smutno i ujemnie.

W budowaniu wielkich koncepcyj życiowych, historycznych, a do nich należy idea wychowania narodowego, nie jest obojętną sprawa założenia, z którego wychodzimy. Pesymizm, jako podstawa, nie może nigdy stworzyć wielkich idej. Wszyscy odczuwamy instynktownie, że pesymizmem zgorzkniałym przesiąknięty jest dzisiejszy światopogląd większej części społeczeństwa; z najwyższych szczebli hierarchji państwowej poi się społeczeństwo pesymizmem, jakby już nic na horyzoncie polskim jasnego znaleźć nie było można. Ten duch zwątpienia, niewiary wsiąkł w umysłowość ogółu.

Otóż jest to największy grzech dzisiejszej Polski. Jest faktem, że w ogromnej większości reprezentuje go przedewszystkiem pokolenie starsze, wyrosłe w niewoli, zniszczone w walce.

Dużo jednak z fundamentów, jakie rzucone zostaną pod przyszłość Polski, ustawią ci właśnie ludzie, przejęci duchem pesymizmu. Jest to wielkie niebezpieczeństwo dla życia polskiego. Jeżeli zaś mowa o idei wychowania narodowego, to tem większe jest to niebezpieczeństwo, im większą i ważniejszą sprawa wychowania młodych pokoleń.

Nie idzie tu wcale o to, aby lekkomyślnie pomijać plamy, jakie się często napotyka w życiu polskiem, aby bezmyślnie uprawiać „radosną twórczość“, nie opartą na znajomości psychiki polskiej, rzucaną jako frazes i hasło, za którego kulisami kryje się pustka lub obrażający godność naszą pogląd o „narodzie idjotów“.

Pesymizm jako założenie, jako punkt wyjścia, jako synteza tego, cośmy warci i z czem iść w przyszłość możemy — nie ma nic wspólnego z krytycyzmem, rozważającym jaśniejsze i ciemniejsze strony codzienności. Jeżeli przystępując do wielkiej budowli, zgóry oprzemy jej istnienie na pesymistycznem założeniu, sprawa jest napewno przegrana. Co innego, gdy wznosząc budowlę i mając już jej plan, stosujemy krytyczną ocenę jej szczegółów w wykonaniu. I tu właśnie jest sedno rzeczy, o którem w tworzeniu naszej ideologji narodowej pamiętać stale należy.

Polski system wychowawczy, jego cały duch przepojony być musi optymizmem, wiarą w siebie, w Polskę, w walory naszego „ja“ narodowego, w potęgę polskiego genjuszu. Tylko taki duch zdoła wyprowadzić w historję pokolenia zdrowe moralnie, mocne i zahartowane. Nie idzie tu o wychowywanie niedoświadczonych „idealistów“, nie dotykających stopą ziemi... Można być realistą, umiejącym porać się z trudnościami życia i równocześnie nosić w sobie ducha największej ekspansji, opartej o moralne przeświadczenie co do wartości swego narodu.

Jest jasne, że nie dojdzie się do tego poprzez „szkołę krakowską“ i przez wyciąganie na wierzch wszystkich rzeczywistych i urojonych błędów i grzechów. Wykrzesanie w Polsce ducha wiary w siebie jest jednem z naczelnych zadań najbliższego pokolenia.

Na wspomnianym krakowskim zjeździe dyrektorów poruszono również i drugi zasadniczy punkt przyszłego polskiego systemu wychowawczego. Mówiono mianowicie, że celem tego systemu ma być wychowanie wolnego człowieka dla wolnej Polski, ujętego w dyscyplinę, opartą na wewnętrznem przekonaniu dziecka, przy równoczesnem rozwijaniu jego indywidualizmu drogą nowoczesnej metody, zbliżonej do daltońskiej („uczenie się pod kierunkiem“).

Nie należy jednak zapominać, że przenoszenie do nas gotowych wzorów zagranicznych, nawet z państw zachodnio-europejskich, niezawsze jest rzeczą wskazaną. Kiedy gdzieindziej, wśród sprężystej organizacji i poczucia spólnoty społecznej, możliwe jest robienie eksperymentów, idących w kierunku liberalnego wychowywania i wytwarzania indywidualności dziecka, kiedy w zmechanizowanej społeczności amerykańskiej nagwałt trzeba hodować jednostkę, aby świat tamtejszy nie stał się tępą maszyną, ślepo posłuszną tylko pieniądzowi—o tyle u nas tego niebezpieczeństwa niema. Przeciwnie—celem naszych najbliższych pokoleń jest jaknajintensywniejszy wysiłek, aby węzły poczucia społecznego, mocno rozluźnione, spoić, wzmocnić, aby ujarzmić zdemoralizowany demokracją, wojną, bolszewizmem świat wybujałych urojeń o prawach jednostki. Trzeba z niej uczynić przedewszystkiem świadomego swych celów, ale ślepo karnego członka szeregów narodowych, przepojonego entuzjazmem dla służby idei i sprawom narodu. Nie ma to być znany niemiecki *„drill“*, który zabijał świadomość jednostki, ale nie może też być to rozbujały jej indywidualizm; jasne jest i tu również, że aby w karby ująć i w takiem poczuciu wychować młodzież, trzeba raczej stosować — mimo naszych niechęci i pamięci o czasach zaborczych— dyscyplinę surowego posłuszeństwa, opartego na posza-

nowaniu nietylko wewnętrznego sumienia, ale również i na zasadach przymusu wobec zewnętrznych symbolów społecznej karności, czy to będzie władza, czy przepis, czy rozkaz. Problem ten należy do najważniejszych, gdyż jego rozumne rozwiązanie gwarantuje nam wychowanie pokoleń, które nie będą skłonne do rewolucyj i przewrotów, będą zaś miały głębokie poczucie ewolucji historycznej, opartej na poszanowaniu instytucyj życia zbiorowego.

Wychować bowiem musimy nietyle wypielęgnowane cnoty indywidualne jednostki, ile zbiorową cnotę wszystkich Polaków, wspólnego ducha odpowiedzialności i świadomości wobec tych obowiązków, jakie nam gotuje rzeczywistość Wielkiej Polski.

Lwów KLAUDJUSZ HRABYK

NAUKA I LITERATURA

Z TWÓRCZOŚCI ZEGADŁOWICZA

DRUGA część niepospolitej powieści Emila Zegadłowicza, noszącej ogólny tytuł „Żywot Mikołaja Srebrempisanego", wydana także nakładem księgarni św. Wojciecha, otrzymała tytuł „Z pod młyńskich kamieni". Rzecz podzielona na ośm ksiąg, a księgi na rozdziały. Żywot Mikołaja Srebrempisanego posunął się o kilka lat. Bohater wejdzie do tomu trzeciego jako chłopiec dziesięcioletni.

Jak widzimy, biografja prowadzona jest szczegółowo; robi czasem wrażenie badania pod mikroskopem. Porównanie to narzuca się dlatego, że czytelnik nie może nie spostrzegać aparatu literackiego, przez który autor ukazuje mu dzieje chłopięcej duszy. Patrzymy mianowicie poprzez poetę, który te dzieje wysnuwa i spreparowane w sposób literacki pod oczy podsuwa.

Trudno nam się opędzić myśli, że autor wydobywa tego chłopca z osobistych wspomnień, że więc jest to autobiografja. Z drugiej strony zdolni jesteśmy zrozumieć trudności, z któremi autor walczy, aby nikt nie miał prawa utrzymywać tego z całą pewnością. Ze względów bowiem osobistych nie jest miło zajmować czyjąś uwagę tak drobiazgowo swoją osobą. Innej jednak drogi do duszy dziecka, gdy się ją bierze od zjaw wewnętrznych (np. od snów), niema, jak tylko własne wspomnienia, w dojrzałym wieku analitycznie odtwarzane. Autor przedstawia ostatecznie nie swoją biografję, lecz dziecka, które znał, a jaką drogą je poznał, to jego rzecz.

Formalnie sprawa tak stoi, ale faktycznie zachodzi okoliczność inna, która już staje się rzeczą obchodzącą żywiej czytelnika, ile, że stąd grozi dziełu niebezpieczeństwo, mianowicie chodzi o proporcjonalność zainteresowań tematem autora i czytelników. Autor, skoro tak doszedł do materjału żywego powieści, doznaje przy rozsnuwaniu go wielkiej rozkoszy, bo to materjał z pod serca— intymny. Zasadą jednak sztuki jest stwarzanie środkami artystycznemi dla odbiorcy takich warunków psychicznych, któreby mu pozwoliły odczuć tę rozkosz piękna, jakiej doznał artysta. Otóż przy operowaniu materjałem poufnym nie całkowicie czerpanym ze wzruszeń czysto estetycznych, łatwo jego wartość przecenić i zatracić kontakt z czytelnikiem. Zwłaszcza, że wymaga się od czytelnika znacznego wysiłku z powodu stałego pochylenia nad drobnoustrojem.

A dalej dzieło Zegadłowicza pomyślane jest w ten sposób, że zamyka nas na cały czas w widnokręgu wzroku dziecięcego. Są co prawda rozdziały, w których Mikołaj nie jest bezpośrednim świadkiem zdarzeń. Ale te właśnie obrazy nie leżą w charakterze opowieści. Jej wartość, jak się zdawało, miała polegać na utrzymaniu tego rozwarcia kąta widzenia, które było właściwe dziecku. I tutaj wynikła dla autora nowa trudność. Nie uważał za możliwe ograniczyć się subjektywnym obrazem przez pryzmat duszy dziecka osiągniętym. Uzupełnia go od siebie przez podmalowywanie tła objektywnego, którego ówczesny Mikołaj nie rozumiał.

Talent Zegadłowicza wyszedł z tych trudności obronną ręką. Powieść jego jest bardzo interesująca jako twór artystyczny, a zarazem jest niepodrobionym, rzetelnym dokumentem i psychologicznym, i historyczno-kulturalnym.

Podobno ma się ukazać teraz trzecia część tego dzieła.

Z.W.

ZE ŚWIATA LITERACKIEGO

Zawodowy Związek literatów polskich we Lwowie postanowił wydać książkę, zawierającą wspomnienia osobiste o Janie Kasprowiczu jego przyjaciół i znajomych. Wydania tej książki podjął się Zakład Narodowy im. Ossolińskich. Czysty zysk przeznaczony będzie na dokończenie mauzoleum poety w Poroninie. Komitet redakcyjny tworzą: prof. Władysław Kozicki, Dyrektor Ossolineum Ludwik Bernacki, poeta Józef Jedlicz, oraz krytycy dr. Wacław Moraczewski i Ostap Ortwin. Materjał nadsyłać należy do 1 maja r. b. na ręce prof. Wład. Kozickiego do uniwersytetu we Lwowie (gmach posejmowy). Ktoby miał adresy dawnych znajomych Kasprowicza, powinien je tam zgłosić, a wysłane będą zaproszenia o informacje.

*

Aleksander Świętochowski napisał w ostatnich dwu latach dwie powieści. Jedna z nich p. t. „Nałęcze" wkrótce ukaże się w druku. Druga nosi tytuł „Twinko". Obu powieściami zajęła się księgarnia nakładowa Trzaska, Evert i Michalski.

*

„Kurjer Warszawski" rozpoczął w odcinku nową powieść Józefa Weyssenhoffa p. t. „Jan bez ziemi". Budzi ona ogólne zaiteresowanie pięknościami prozy, roztaczającej z właściwym temu pisarzowi wdziękiem obrazy życia wiejskiego w Wielkopolsce. Wszystkie zalety pióra znakomitego pisarza ujawniają się w pełni swego dawnego blasku.

RUCH WYDAWNICZY

Juljan Krzewiński ma talent pisarski niewątpliwy. Powieść jego p. t. „Baletnica" (Rój) czyta się z zainteresowaniem nietylko dlatego, że ją napisał aktor i że — jak głosi obwoluta—bohaterką jej jest słynna artystka o renomie wszechświatowej... Obie te okoliczności działają raczej odstręczająco. Czyta się dzieje Lodzi Hipś jednym ciągiem z niesłabnącą ciekawością, ponieważ rzecz jest naprawdę bardzo ładna.. Książka jest raczej smutna. Ponure środowisko opryszków nadwiślańskich, w którem historja się rozpoczyna, nieczysta atmosfera szkoły baletowej z czasów rosyjskich, plugawe tło gabinetów restauracyjnych — wszystko to budzi w duszy czytelnika handrę potężną. Ale właśnie wrażenie to świadczy, że autor ma dar wzruszania, że jest dobrym powieściopisarzem, że rzeczy, o których pisze, nie tylko zna gruntownie, ale umie je przedstawiać z prawdą artystyczną.

Miłą cechą utworu Krzewińskiego jest prostota języka, bezpretensjonalność, niesadzenie się na modne metaforyzowanie i barokowanie stylu. Autor nie wstydzi się nazywać rzeczy po imieniu, określeniami najzwyklejszemi i gardzi tak powszechnem dzisiaj efekciarstwem słownikowem. Powieść jego nie ma, należy to podkreślić, nic wspólnego z biografjami reklamowemi, których autentyczna Lodzia Hipś (nazywająca się oczywiście inaczej) doczekała się bodajże kilkunastu w kilku językach. Z drugiej strony powieść nie jest zgoła paszkwilem, wywlekającym złośliwie prawdę na jaw w celu ośmieszenia osoby paradującej dziś w ozdobie arystokratycznego tytułu.

Bohaterka przedstawiona jest przedmiotowo i raczej sympatycznie. Niepodobna nie mieć współczucia dla tej dziewczynki, która musiała, nie mając dachu nad głową, spędzić noc w łabędziej budce w Ogrodzie Saskim, a kiedyindziej zjeść na śniadanie okruchy bułki, przeznaczej dla wróbli. Trudno jej nie rozgrzeszyć ze wszystkich win, które w innych warunkach, w innej sferze społecznej byłyby potworne, a które w jej położeniu dla sędziów sprawiedliwych muszą być wybaczalne. To też nie bierzemy Lodzi za złe ani jej wizyt u „przyjaciela dzieci", lubiącego częstować baletniczki z najmłodszego kursu czekoladą i ciast-

kami, ani nawet późniejszych, skoro podrosła, hulanek po kabaretach. „Hulanki" owe były przecież jedynym w jej sytuacji sposobem zaspokojenia głodu. Nie mniej zajmująco, niż bohaterka naczelna, są odmalowane drugoplanowe postacie powieści: matka Lodzi, siedząca w kryminale, dziadek żebrak, wuj nożowiec, koleżanki z baletu, znajomi, przyjaciele. Wszystkie te figury są osobami żywemi: wierzymy w ich istnienie. Każda tętni krwią. Żadna nie szeleści papierem.

*

Godnie uczciła Bibljoteka Narodowa dziesięciolecie swego istnienia wydając nader starannie „Almanach" i ozdabiając go kilkunastu ilustracjami, wziętemi z własnych wydawnictw. Treść książki stanowi szereg artykułów, zamówionych *ad hoc* u niektórych naszych uczonych, jak profesorowie: Chrzanowski, Gubrynowicz, Dyboski, Łempicki, Taszycki, Kridl, Borowy i in., którzy omawiają poszczególne działy wydawnictw Bibljoteki Narodowej. Drugą część książki stanowią wyjątki z bardzo licznych recenzyj o poszczególnych utworach, wydanych przez Bibl. Narodową. Wreszcie we wstępie, napisanym zapewne przez dyrektora B. N., prof. Stanisława Kota, znajdujemy dzieje wydawnictwa, opis trudności, z któremi dyrekcja musiała walczyć w tym tak ciężkim dla wydawnictwa książek okresie,—a wreszcie mamy tu obraz wyników, osiągniętych przez Bibljotekę Narodową.

Dowiadujemy się więc oto, że po dziś dzień B. N. wydało już 163 tomy, z których mnóstwo w ponownych wydaniach, i o imponujących nakładach: najniższy nakład 6 tysięcy, przeciętny 10 tys., najwyższy — 25 tys.

Komplet B. N. wynosi w obecnej chwili 3.200 arkuszy, stronic 51.200. Ogólna ilość egzemplarzy wydanych—2.830.000, o łącznej ilości arkuszy 37.260.000! Wstęp wymienia dalej niektóre liczby, odnośnie do poszczególnych dzieł, zaliczając do najbardziej pocieszających sukcesów ani 40 tys. Iljady, ani 30 tys. Odyssei, ani 60 tys. Antygony, ani także 70 tys. Trenów, 60 tys. Odprawy posłów,—lecz przedewszystkiem rozejście się tak zdawałoby mało-strawnych rzeczy, jak Wojna Chocimska Potockiego (6 tys.), Kronika Gallusa (6 tys.), Pisma Kopernika (7 tys.).

Nic tedy dziwnego, że prof. Kot, szlachetną dumą przejęty, wyraża nadzieję, iż Bibljoteka Narodowa obejmie z czasem całokształt literatury polskiej, oraz naczelne arcydzieła literatury światowej, gdyż, jak pisze „inicjatywa nasza obliczona jest na długie lata i nie na jedno pokolenie".

*

Znany etnolog prof. Jan St. Bystroń wydał u Gebethnera „Wspomnienia Syryjskie". Jest to pamiętnik wycieczki do Syrji, którą autor odbył w r. 1926 razem z archeologiem prof. un. warsz. Włodzimierzem Antoniewiczem. Autor poświęca stosunkowo niewiele miejsca przeżyciom własnym podczas podróży. Korzysta natomiast z okazji, żeby zaznajomić czytelnika ze stosunkami kulturalnemi, etnicznemi i politycznemi tego odległego kraju. Z książki prof. Bystronia dowiadujemy się mnóstwa rzeczy ciekawych o kłopotach administracji francuskiej i o historycznem tle dzisiejszych konfliktów zbrojnych w Arabistanie. Jeden z najciekawszych rozdziałów poświęcony jest Lady Stanhope i emirowi Rzewuskiemu. Książkę zdobią ilustracje według starych francuskich, bardzo pięknych miedziorytów, zaczerpniętych z dzieła: Cassas „*Voyage Pittoresque de la Syrie*".

*

W r. 1928 ukazały się dwie zbiorowe prace, poświęcone zagadnieniom polityki gospodarczej Państwa Polskiego, a mianowicie: „Zagadnienia Gospodarcze Polski Współczesnej" (nakładem tyg. „Przemysł i Handel", str. 301) oraz „Na froncie gospodarczym" (nakładem wydawnictwa „Drogi", strona 442). Na całość tych publikacyj składają się artykuły, pisane przeważnie przez urzędników państwowych, którzy wypowiadają się jednak „w swojem własnem tylko imieniu". Obie prace, stojące naogół na dość wysokim poziomie, łączy jedna myśl przewodnia: jest nią idea wzmożonego udziału Państwa w życiu gospodarczem. Autorowie uzasadniają konieczność wzmożonej ignerencji Państwa, posługując się przytem obfitym materjałem faktycznym. Ze względu na ożywioną dyskusję, jaka toczy się obecnie w Polsce dokoła zagadnienia etatyzmu, (który — naszem zdaniem — w polskiem życiu gospodarczem rozrósł się w sposób nadmierny), prace powyższe, będące wyrazem ideologji t. zw. „pierwszej brygady gospodarczej" i stanowiące niejako punkt wyjściowy tej dyskusji, zasługują bezwzględnie na baczną uwagę społeczeństwa. Ponieważ jednak posiadają one z konieczności charakter wybitnie jednostronny, przeto czytelnik, któryby chciał zapoznać się z aktualnem zagadnieniem etatyzmu w Polsce, dobrze zrobi, o ile przeczyta jednocześnie małą, ale cenną pracę prof. Adama Krzyżanowskiego p. t. „Bierny bilans handlowy" (Kraków 1928, str. 104), stanowiącą przenikliwą krytykę nadmiernego etatyzmu.

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Ku uczczeniu 60-ej rocznicy urodzin zasłużonego profesora historji praskiego uniwersytetu, Jarosława Bidla, wyszła w Pradze, staraniem jego uczniów, kolegów i przyjaciół olbrzymia księga pamiątkowa, nosząca wspólny tytuł „Z dziejów Europy wschodniej i słowiańszczyzny" (Praga 1928, str. 512). Złożyły się na tę księgę prace historyków czeskich, polskich, rumuńskich, jugosłowiańskich, ruskich oraz jednego Francuza. Szczególnie liczny udział historyków polskich wśród autorów drukowanych rozpraw jest zasłużoną manifestacją nauki polskiej, dla zasług prof. Bidla na polu zbliżenia i wzajemnego poznania kulturalnego polsko-czeskosłowackiego. Prof. Bidlo poznał Polskę i Polaków jeszcze w czasie swego pobytu na uniwersytecie krakowskim, gdzie studjował historję, biorąc żywy udział nietylko w historycznych, naukowych rozprawach, ale i w ówczesnem życiu akademickiem. Od tego też czasu datują się mocne nici sympatji prof. Bidla względem Polski i jej kultury, jak również między jego ówczesnymi kolegami a zasłużonym czeskim historykiem. Obszerna bibljografja jego prac, umieszczona na czele księgi pamiątkowej, daje przybliżone pojęcie o ogromie pracy Bidla. Kapitalnem jego dziełem są trzytomowe dzieje Braci czeskich p. t. „*Jednota bratrska v prvnim vyhnanstvi*", pozatem jest on doskonałym znawcą okresu reformacji, a artykułami dotyczącemi tych problemów zasilał Bidlo nawet czasopisma naukowe polskie. Spełnia jednak Bidlo również inną doniosłą rolę. Jest on niejako ambasadorem kultury polskiej w Pradze. Znając bowiem wyśmienicie polską literaturę historyczną, oraz interesując się żywo jej problemami, przetłumaczył na język czeski „Dzieje Polski" Bobrzyńskiego, a co najważniejsza, napisał kilkadziesiąt recenzyj z najcelniejszych dzieł współczesnej historjografji polskiej, drukując je w czeskich czasopismach naukowych. Informował ponadto społeczeństwo czeskie o ważniejszych rocznicach narodowych polskich, pisząc okolicznościowe artykuły czy to na uroczystości grunwaldzkie (1910), czy kościuszkowskie w r. 1917. W latach wojennych poruszał również w artykułach cały szereg aktualnych zagadnień. Jak z tego wynika, zasługi Bidla około kulturalnego zbliżenia polsko-czechosłowackiego są bardzo wielkie i dlatego dobrze się stało, że w hołdzie, jaki mu składa nauka czeskosłowacka, wzięli tak liczny udział reprezentanci nauki historji polskiej. Między innymi napisali artykuły: prof. Bujak, Sobieski, Kot, Ptaśnik i inni. Szczególnie interesujące szczegóły, dotyczące wpływów stosunków politycznych Czech w XVI w. na polską literaturę tego czasu podał w swym referacie prof. Kot. Prof. Sobieski w artykule o Wilhelmie Rozemberku i Janie Zamoyskim przedstawił słowianofilskie nastroje u tych dwóch zwolenników zbliżenia polsko-czeskiego w XVI w. Księga pamiątkowa ku czci prof. Bidla jest niewątpliwie, dzięki swej dużej wartości naukowej i dzięki współpracy w niej historyków polskich i czechosłowackich, nowym objawem serdecznych stosunków kulturalny między Czechosłowacją a Polską.

*

Robert Hugh Benson, ksiądz i powieściopisarz znany jest z przekładów czytelnikom polskim. Zwłaszcza jego powieść „Pan Świata" (wydawnictwo księgarni św. Wojciecha) cieszyła się dużem powodzeniem. O krótkiem (1871 — 1914), lecz bogatem życiu Bensona napisała piękną książkę Agnès de la Gorce p. t. *Robert Hugh Benson, prêtre et romancier*".

*

W „*Rue Pigalle*" (Albin Michel), Fracis Carco powraca do swoich ulubionych tematów Montmarte'u i jego jedynych w swoim rodzaju modeli. Odmalowuje on nerwowem piórem cały ten świat kobiet i mężczyzn, żyjących z dnia na dzień. Atmosfera tej książki przepełniona jest alkoholami zawrotnemi i kokainą, ponad któremi unosi się jednak nostalgja bezcelowego życia.

*

P. Henri Montherland, specjalnie lubujący się w obrazach i kolorycie Hiszpanji, przygotowuje powieść, która wyjdzie u Grasset'a pod tytułem „*La petite Infante de Castille*".

*

P. Albert Touchard, oficer marynaki, autor „*L'Abordage*" i „*La mort du Loup*", w których odtworzył w sposób bardzo interesujący nieuniknione konflikty życia kolektywnego na pokładzie statków, pracuje obecnie nad nową książką „*Le cuirassé*" (Gresset).

OFENSYWA

TRAGEDJA BOYA

WIELE teraz mówi się i pisze o Boyu-Żeleńskim. Teraz — to znaczy od pięciu lat. Co tydzień rzuca bowiem w paszczę smoka publiczności jakąś nową sensację, jakiś skandal, jakąś rewelację, jakąś kompromitację. Jest w doskonałej formie pisarskiej, wymasowany, wytreningowany, zdrów jak Rydz, śmigły jak sosenka, pracuje jak Syzyf, zarabia jak Krezus, sławny jak Herostrates, popularny jak Ursus, bogów i ludzi faworyt i ulubieniec. A jednak smutny! zawsze smutny, posępny, ponury, niezadowolony z wszechświata i z podwórka. Czemu? Czyżby już poznał dysproporcję między małością sukcesów a ogromem wysiłków? Czyżby już odkrył różnicę między sławą pisarza, a rozgłosem feljetonisty, między *jazzbandem* momentu a nieśmiertelnością, między entuzjazmem Nalewek wszystkich miast polskich a wdzięcznością społeczeństwa, między dynamiką twórcy solidnych wartości literackich a bezsilnością modnych bawidamków i saltymbanków z ulicy i dla ulicy? Nie. Jeszcze nie. *Degout*, desperacja i *taedium vitae* przyjdą dopiero za rok, za dwa, za trzy. Teraz jeszcze zielony balonik wydaje się sobie olbrzymim Zeppelinem przelatującym nad oceanem czytelników—wielbicieli. Jeszcze jest siedem lat tłustych. Maluczko, a zacznie się zmierzch, jesień, adwent. *Miserere mei Deus*. Narazie zenit. Boy tarza się na laurach i bobkach. Do wanny wlewają mu esencję fiołkową. Róże Saronu bombardują listami miłosnemi. Wydawcy w ogonku czekają na schodach, nakładcy w przedpokoju siedzą w dwóch rzędach. Mecenas Pomeranz drży ze wzruszenia, gdy z nim rozmawia. Redaktor „*Będziner Sztymme*" prosi o dwa słowa w dedykacji. U Semadeniego w niedzielę sztamgasty rozrywają „Kurjer" w strzępy.

A jednak Boy jest smutny, przedwcześnie przesmutny. Dlaczego tak? Że mędrcy wogóle są smutni? Smutkiem Charlie Chaplina smutny? melankolją Heinego smutny? Nie. Nie w tem rzecz. Całkiem gdzieindziej.

Oto jest sprawa taka. Boy-Żeleński stał się w krótkim czasie potęgą, potencją, mocarstwem literackiem. Sezonowem czy nie sezonowem, ale mocarstwem! Pod Wawelem był jeszcze tylko wirtuozem sarkazmu, wierszopisem, tłumaczem, gorszycielem maluczkich, przy małej parafji recenzentem na dorobku. Pod... Belwederem został szybko poetą satyry, mistrzem polemiki, spadkobiercą Balzaca, tyranem teatrów, tytanem Olimpu (Fryzejskiego) burzycielem przesądów i zabobonów, czołgiem postępu i prawdy, jasnowidzem analizy krytycznej, Mojżeszem nowych dziesięciu przykazań Sztuki, zakonodawcą, przewcieleniem Zarathustry (*gaya scienza*) Luciferem (światłonosiec). Atmosfera stolicy była zanadto Bogo-Ojczyźniana, wolne miejsce i duże pole dla satanisty, dla Demona. I Boy wziął się do roboty...

Oczywiście klimat stanął Boyowi na przeszkodzie. Trudno z Saskiej Kępy zrobić wyspę Lesbos w tak krótkim czasie. Stosunkowo tylko sadyzm mógł się rozszerzać. bo sady nasze w maju kwitną i upajają... Zwycięstwo Boya stało się tedy względne z momentem, gdy najzagorzalsi homoseksualiści zaczęli zdradzać gminę i nawracać się na dawny manier. Wtedy Boy przeszedł do kampanij rewelacyjnych na większą skalę: demaskowanie seksualnego żywota naszych wielkich i największych. To co Hoesick zaczął w rękawiczkach duńskich z przedwojenną galanterją, to Boy zdecydował się przeprowadzać, tylko że w fartuchu chirurga, z zakasanemi rękawami i bez antycznego pietyzmu... Poszargać tam trochę te świętości! uczłowieczyć, zbliżyć do nowoczesnego, powojennego „światopoglądu". Będą mniej patetyczne ale za to „pikantne", przystępniejsze... Łatwiej zbłądzą pod strzechy.

Genitalia non sunt turpia. Camembert i *Rocquefort*. I dewocjonista Pryapa, trzeba przyznać, wziął się do rzeczy świetnie i przeprowadził śledztwo doskonale i rezultaty okazały się bajeczne: Narcyza jako Safona... palce lizać... album obrazeczków w stylu Beardsleya (tajnego) szybko wydać. *Big! Business*... kompleks Freudoski Kościuszki i murzynów?... Sobieski też coś zbyt lubił...

No i w ten to sposób z drobnych stosunkowo głazów powstał olbrzymi kolos rodyjski, zasłaniająca horyzonty przepotężna indywidualność Boya-Żeleńskiego.

Jest tylko w tem całem Pandemonizmie jedno małe, malenieczkie: „ale". A mianowicie takie a l e.

Ale Wincenty Rzymowski pod pseudonimem „Gromicza" w piśmie „Widnokręgi" w roku Pańskim 1915-ym tak scharakteryzował... indywidualność... „Kurjera Porannego":

> „Kurjer Poranny" nabiera tchu wówczas, gdy może po mistrzowsku przyrządzić opis defloracji, wywąchać trupa w koszu, podpatrzeć szulernię, zrewidować dom schadzek, przetrząsnąć kulisy klasztoru, zainscenizować nową odmianę kazirodztwa, lub rzecz zagaić kwiecistym tytułem...
>
> „Kurjer Poranny" wie, czego potrzeba tłumowi: tłumowi potrzeba plotki. Tłum samym dogmatem żyć nie może i tęskni za plotką. Duszą zaś plotki jest złośliwość. Dobra plotka musi być, jak wyschnięta ślina: lekka i plugawa".

I oto gdzie tkwi tragedja Boya-Żeleńskiego.

W świetle charakterystyki Gromicza-Rzymowskiego przepotężna indywidualność Boya okazuje się fikcją. Wobec makrokosmu „Kurjera Porannego" (*Maison* Kaftal, Fryze et Conys) genjusz Boya okazuje się mikrokosmem. Mędrzec staje się tylko jedną z gwiazd krążącą błędnie w orbicie tego Saturna czy tej Wenery czy też tego wenerycznego Saturna. To co się wydawało emanacją, kwintessencją, niepospolitym czarem i zniewalającym czarem Boya—to wszystko jest wspaniałym księżycowym refleksem słońca „Kurjera Porannego". Nie Boy sam wniósł nieprzemijające, immanentne wartości w skarbiec literatury polskiej tylko *genius loci* zmógł, przepoił, natchnął Boya do jego epokowej, światoburczej, lucyferycznej działalności. Nie z ducha, z Króla-ducha Boyowego idzie ta „moc fatalna", nas wszystkich tak olśniewająca i „fascynująca" (mecenas Pomeranz *dixit*) ale z pięćdziesięcioletniego tegorocznego jubilata, skromnego, półwiecza swojego nie obchodzącego jubilata... „Kurjera Porannego". Tytan Boy dał się zaprząc do lśniącego rydwanu zwycięskiego organu Lucyferycznego i ciągnie go z kopyta ku jasnym dalom. Środowisko, *milieu*, tradycje, powaby i urok moralny *Dominium Fryze* okazały się mocniejsze nawet od takiego mocarza ducha i pióra i narzuciły mu swój światopogląd względnie półświato-pogląd.

„Tłumowi potrzeba plotki" tak grzmiał Wincenty Rzymowski, dzisiejszy redaktor „Expressu Czerwonego".

„Tłum dogmatem żyć nie może i tęskni za plotką" piorunował Gromicz.

„Otóż plotki w „Kurjerze Porannym" bywają zazwyczaj doskonałe".

Plotki Boya są najdoskonalsze. Boy atoli sam jest smutny, smutny od tego momentu, kiedy się przekonał, że świeci, świeci, oświeca, światło roznosi, światłem promieniuje, nawet ogrzewa, ale że źródło tego światła leży nie w nim samym lecz w jego przedsiębiorstwie, w *Etablissement* Kaftal, Fryze et Comp. Gwiazdą jest, księżycem jest, owszem ale właściwem słońcem...„Poranniak".

Ot i tragedja! ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

Organ zbliżony do rządu, „Głos Prawdy" ogłasza wezwanie do min. Cara, aby się wdał w sprawę wyroku trzech instancyj sądowych na Tadeusza Wieniawę-Długoszowskiego, skazanego na więzienie za działalność wywrotową. Organ zbliżony do rządu, rozpatrując sprawę na nowo, wskazuje, że w motywach wyroku brak okoliczności bardzo ważnej, mianowicie że czyn Dł. popełniony był w prasie „dn. 2 maja 1926 r., a więc w tej fatalnie niezdrowej atmosferze, która w 10 dni później doprowadziła do wybuchu rewolucyjnego, zatem w okresie, gdy natury szlachetne popadały w rozpacz, a kunktatorskie ulegały deprawacji. Jeśli Tadeusz Długoszowski należał do buntujących się przeciw ówczesnej rzeczywistości, świadczy to tylko chlubnie o nim".

Istotnie argument ten powinien zastanowić twórców rewolucji. Za jakież to dążenia skazano tego „zrozpaczonego" człowieka, cóż to tak „chlubnie" o nim świadczy? Długoszowski „stwierdza tylko, że: 1) trzeba stworzyć jednolity front pracujących w Polsce; 2) Polską musi rządzić rząd robotniczo-włościański; 3) proletarjat Polski nie tracił i nie traci wiary w ideały Deklaracji Praw Człowieka".

A więc tylko propaganda bolszewicka. Podobne rozmówki przypominają koniec roku 1917 w Rosji, kiedy to Lenin rozmawiał z Kiereńskim.

*

Przy teatrze Narodowym powstał niedawno teatr Nowy (w salach Redutowych) dla celów eksperymentalnych dramatu. Wystawiono tam obecnie utwór Jerzego Szaniawskiego, podobno doskonały. Nie możemy jednak dać swojej recenzji, ponieważ p. prezes teatrów Artur Śliwiński nie ma dla naszego sprawozdawcy miejsca ani w tym teatrze, ani w teatrze Letnim, pomimo że zawiadamialiśmy już dyrekcję, że zależy nam na zaznajamianiu się z całością polskiej twórczości dramatycznej.

Zdawałoby się, z tego sądząc, że w Warszawie jest tak wielu krytyków literackich, że wszystkich nie da się pomieścić w teatrze na premjerze, nawet tych, których krytyki znane są z publikacyj książkowych. Tymczasem rzecz się ma inaczej. Niektóre wydawnictwa zajmują na premjerze po sześć krzeseł, każdy reporter ma zapewnione dwa krzesła, wszyscy radni miejscy, wszystkie rządowe figury, każda wdowa po literacie, każdy redaktor z żoną, każdy literat miły p. Śliwińskiemu. Cóżby to był za skandal w teatrze, gdyby jaki żydek z prasy nie dostał zaproszenia, jakiś socjalista, albo jaki masonik! Dla pisarzy z obozu narodowego niema miejsca. Czy byłyby takie stosunki możliwe gdzieś na zachodzie, żeby zarządowi teatru nie zależało na krytykach znanych w literaturze? Teatry miejskie w Warszawie, oddawane w zarząd synekurzystom politycznym, oczywiście nie mają organu, któryby nad stosunkiem do literatury mógł się zastanowić

NOWE KSIĄŻKI

Bystroń Jan St. Wspomnienia syryjskie. Bejrut-Palmia-Damaszek. Z 15 ilustracjami. Warsz. (1929). Gebethner i Wolff.

Rogala Jan. Odkupienie. Powieść. Wyd. II Warszawa Gebethner i Wolff.

Ligocki Edward. Zwid złego ducha. Powieść. Warszawa. Gebethner i Wolf.

Kozicki Władysław. Święto kos. Dramat w 3 aktach, odznaczony 2-gą nagrodą na konkursie m. Lwowa. Lwów 1928. Nakładem autora.

Nikorowicz Ignacy. Nieśmiertelny kochanek. Nowela. Lwów 1929. Zakład Nar. im. Ossolińskich.

Bandrowski Kaden Juljusz. Tadeusz. Z cyklu Czarne skrzydła. Powieść. Lwów 1929. Zakład Nar. im. Ossolińskich.

Louvet de Couvray. Przygody kawalera de Faublas. Przeł. Cz. Jankowski. Warsz. 1929 „Maska".

Heyse Paweł. Cztery kobiety. Przeł. Meb. Warsz. 1928.

Marczyński Antoni. Przeklęty Statek. Powieść. Warsz. 1929 „Rój".

Nałkowska Zofja. Niedobra miłość. Romans. Gebethner i Wolff. Warsz. 1929.

Blasco Ibaniez. Kwiat majowy. Powieść. „Sfinks". 1928.

Przegląd Filozoficzny, zesz. 3 rocznika 31 Warsz.

Claparède Ed. Szkoła na miarę. Przeł. dr. Z. Ziembiński. Warsz. 1929. M. Arct.

Doświadczyński Tomasz. Djalog o reformie szkolnej. Warsz. 1929. M. Arct.

Szumowski Wład. dr. Sprawa doktoratów medycyny w Polsce. Materjał do dyskusji. Kraków 1929. Skład Geb. i W.

Batowski Henryk. Królestwo Serbów, Chorwatów i Słowieńców. Lwów 1928 S. 13.

Waściszakowska Janina. Blade róże. Poezje Lublin 1929.

Hamsun Knut. Misterja. Przekład F. Mirandoli. Poznań 1928. Wydanie Polskie Bibl. laureatów Nobla, Nr. 59.

Sprawozdanie z działalności Związku Pols. Naucz. Szkół Powsz. za r. 1927—28. Warsz. 1928. Str. 176.

Sprawozdanie Kasy im. Mianowskiego za r. 1927. S. 52.

Gąsiorowski Wacław. Czarny generał. Romans historyczny. Warsz. 1928. Dom Książki Polskiej.

Księgarnia św. Wojciecha w Poznaniu wydała:

Posadzowa Marciszewska Stefanja. Dziecię Jezus. Opowiadania ewangeliczne. Z ilustr. Z. Stanisławskiej.

Gayówna D. Dobroczyńca ludzkości Ludwik Pasteur. Życie i działalność.

Gembarzewski Miłosz. Krzak gorejący. Nowele. Warsz. 1929. F. Hoesick.

Marwegowa Elżbieta. Ugor (Poezje). Poznań 1929. K. Rzepecki.

Koniński K. L. Z tęsknot i myśli kryzysu. Kraków 1928. Odbitka z „Przeglądu Współcz." (grudzień 1928).

Tow. Wydawnicze „Rój" wydało:

Marczyński Antoni. Książę Wa-Tunga. Powieść o współczesnym korsarzu z Borneo.

Gładkow Fiedor. Cement. Powieść.

Krzewiński Juljan. Baletnica. Powieść.

Grossek-Korycka Marja. Serce. Powieść.

SPROSTOWANIE

W n-rze 2, w artykule K. L. Konińskiego p. t. „Konjunktura patosu", sprostować należy następujące pomyłki druku: 1) str. 21 szp. II w. 27 od góry w cytacie z E. Wojtycha, zamiast „Krwawe pieczęcie własności" — winno być twarde"...; na str. 21, szp. I, w. 15 od góry zamiast „koszmarem", winno być „bezmiarem".

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 25-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr 17, 2-gie piętro. Tel. 11-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie 17, rocznie zł. 32, za granicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI — Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI

Druk. A. Michalskiego, sp. z o. o., Chmielna 27. Telefon 27-15. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM